„Kim jesteś? Zapytaj kim byłem.”

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Karol Dickens

1 STYCZNIA 1925

MAJSTER TEISTER

n/n

Tytuł oryginału
A Christmas Carol
Wydawnictwo
E. Wende i S-ka
Edycja
Majster Teister

Świat książki

Warszawa 2010

Druk i oprawa

Nasza Drukarnia Sp. Z.o.o.

ISBN 978-83-247-1234-2

Nr 6529

Opowieść Wigilijna

I

Widmo Marley'a

?Marley już nie żył. Nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Akt jego zejścia podpisany był przez pastora, przez pisarza parafji i przedsiębiorcę karawanów. Scrooge także go podpisał, a imię Scrooge'a nadawało na giełdzie wielką wartość każdemu papierowi, na którym raczył umieścić swe nazwisko.

?Stary Marley umarł więc z pewnością.

?Czy Scrooge wiedział o tem? Bezwątpienia. Mogłoż być inaczej? Scrooge i on byli we współce od niepamiętnych czasów. Scrooge był jedynym wykonawcą testamentu, jedynym zarządcą majątku, jedynym spadkobiercą, jedynym przyjacielem zmarłego i jedynym uczestnikiem pogrzebu. Chociaż, prawdę powiedziawszy, wypadek ten nie oddziałał nań tak straszliwie, iżby mu miał przeszkodzić do wykazania w dniu pogrzebu znakomitych zdolności handlowych; i owszem, chwilę tę uczcił Scrooge zrobieniem bardzo korzystnego interesu.

?Wzmianka o pogrzebie Marley'a zwraca mnie do punktu wyjścia. Niema wątpliwości, że Marley umarł; trzeba to dokładnie zrozumieć i głęboko się tem przejąć, inaczej historja, którą zamierzam opowiedzieć, nie miałaby w sobie nic nadzwyczajnego.

?Scrooge nie starł wcale z szyldu nazwiska Marley'a. W lat kilka potem, nad drzwiami kantoru błyszczał napis: „Scrooge et Marley". Dom handlowy znanym był wszystkim pod tą firmą. Osoby jednak mniej wtajemniczone wołały niekiedy na Scrooge'a, panie Scrooge! a niekiedy panie Marley! — odpowiadał na obydwa nazwiska, — nic go to nie mieszało.

?A ściskał też wszystko w garści, ten pan Scrooge! Stary grzesznik był to skąpiec nad skąpce, umiał on uchwycić, wyrwać, wykręcić, wygnieść i wydrapać, a nigdy nie wypuścić. Twardy i ostry jak krzemień, z którego nigdy stal nie wykrzesała żadnej szlachetnej iskierki, tajemniczy, zamknięty w sobie, samotny jak ostryga. Zimno wewnętrzne skurczyło mu oblicze, ścisnęło spiczasty nos, zmarszczyło czoło, zaczerwieniło oczy, zesztywniło postawę, zsiniło zacięte usta i objawiało się nazewnątrz suchym i skrzypiącym głosem. Białawy szron pokrywał mu głowę, brwi i ostro-spiczasty podbródek. Wszędzie i zawsze niósł z sobą lodowatą atmosferę; studził swą obecnością kantor podczas upałów, i nigdy w życiu nie topniał.

?Upał i zimno wewnętrzne nie wywierały nań żadnego wpływu. Gorąca letnie nie grzały go, mrozy zimowe nie mroziły. Żaden też wiatr nie był od niego ostrzejszy. Niepogoda nie mogła mu niczem dokuczyć; najstraszliwsze ulewy, śnieg, grad, zawieruchy nie miały nad nim najmniejszej przewagi. Padały one niekiedy dozbytku; Scrooge nie znał tego wyrazu. Nikt nie zatrzymywał go na ulicy, aby mu powiedzieć z uśmiechem: „Kochany Scrooge! — jak się masz? Co tam słychać? Przyjdźże nas odwiedzić!" Żaden żebrak nie poprosił go o jałmużnę, żadne dziecko nie zapytało o godzinę. Nigdy nie widziano, aby kto z przechodniów, czy to mężczyzna, czy kobieta, zapytał go o kierunek drogi. Sądziłbym, że znały go nawet psy prowadzące niewidomych; gdy bowiem nadchodził, odciągały swych panów do sieni i w uliczki, poruszając znacząco ogonem, jak gdyby chciały wyrazić: „Biedny mój panie, lepiej nie widzieć, niż mieć złe oczy!"

?Lecz cóż go to obchodziło? Tego właśnie pragnął — do tego dążył. Wydeptać sobie samotną ścieżkę obok szerokiego gościńca, którym świat cały przebiega, i ostrzec przechodniów wielkim napisem, aby mu nigdy nie włazili w drogę i trzymali się zdala, — było ulubionem jego zadaniem.

?Pewnego dnia, najlepszego ze wszystkich dni roku, w Wigilję Bożego Narodzenia, stary Scrooge, bardzo zajęty, siedział w kantorze. Zimno było dotkliwe i przenikające, czas — mglisty; Scrooge mógł dosłyszeć, jak przechodzący ludzie chuchali w palce, oddychali głośno, rozcierali ręce, tupali nogami o bruk, aby się cokolwiek rozgrzać. Trzecia godzina wybiła na wieży, a noc była już zupełna. Cały dzień było ciemno; — światła ukazujące się w oknach sąsiednich mieszkań wyglądały jak rude plamy na czarnem tle gęstego i dotykalnego prawie powietrza. Mgła wciskała się wewnątrz domostw przez wszystkie szpary i dziurki od klucza, a nazewnątrz tak była gęsta, że w najciaśniejszej nawet uliczce przeciwległe budynki wyglądały jak widma.

?Drzwi od kantoru Scrooge'a były otwarte, aby mógł mieć na oku buchaltera, siedzącego w małej sąsiedniej izdebce, albo raczej w ciemnej piwniczce, gdzie przepisywał listy. W pokoju Scrooge'a tlał maleńki ogień, — lecz ogień w izbie buchaltera nierównie by mniejszy, — zdawałoby się, że się zaledwie żarzy jeden węgielek. Nie mógł go biedak podsycić, ponieważ kosz z węglami stał w pokoju pryncypała, a Zilekroć poważył się wejść z łopatką po węgle, Scrooge wyrzucał mu, że go rujnuje i że będzie go musiał oddalić. Dlatego też nieszczęśliwy buchalter owinął szyję wełnianym szalikiem i próbował ogrzać się przy świecy, w braku jednak dość bujnej wyobraźni usiłowania te spełzły bezskutecznie.

?— Wesołych świąt, wujaszku — niech cię Bóg błogosławi — ozwał się dźwięczny głos. Był to głos siostrzeńca Scrooge'a, który wpadł tak nagle, że stary nie miał czasu go spostrzec.

?— Ba — rzekł Scrooge, — głupstwo!

?— Święta Bożego Narodzenia! wujaszku, tyś tego nie chciał powiedzieć!

?— Tak jest — rzekł Scrooge. — Wesołych świąt. Jakiem prawem masz być wesołym? Co za powód abyś się oddawał rujnującej wesołości. Jesteś i bez tego dosyć ubogi.

?— No, no! — odpowiedział siostrzeniec, — jakiem prawem jesteś smutny i kwaśny, dlaczegoż cały zatapiasz się w tych ponurych liczbach i rachunkach. Już jesteś dosyć bogaty.

?— Głupstwo — rzekł po chwili Scrooge, nie mając lepszej odpowiedzi — głupstwo.

?— Nie gniewaj się, wujaszku!

?— Jak się tu nie gniewać, żyjąc w świecie pełnym głupców, i takich, jak ty, warjatów? Wesołych świąt! Idźcie do licha z waszą wesołością. Czemże jest dla was Boże Narodzenie, jeśli nie chwilą płacenia rachunków, na które często nie macie pieniędzy, — dniem — w którym znajdujecie się o rok starszymi, a o szyling nawet nie bogatszymi, dniem sprawdzania książek handlowych, po których zsumowaniu przekonywacie się, że w ciągu minionych dwunastu miesięcy żaden interes nie przyniósł wam najmniejszego zysku. Gdyby to zależało ode mnie — dodał z wzrastającem oburzeniem, — to każdego głupca, biegającego od domu do domu z okrzykiem „wesołych świąt" na ustach, wsadziłbym w kocioł, w którym się gotuje budyń i pochował z gałązką choiny w sercu. Tak jest.

?— Wujaszku! — zawołał siostrzeniec, chcąc bronić sprawy Bożego Narodzenia.

?— Siostrzeńcze! — przerwał surowo starzec, — obchodź sobie święta, jak ci się tam podoba, i pozwól mi, abym je także obchodził na mój sposób.

?— Ależ ty ich wcale nie obchodzisz, mój wuju.

?— Tem lepiej — zostaw mnie tak, jak jestem. Wiele ci z tego przyjdzie — już ci te święta tyle napędziły zysków!

?— Przyznaję, że niezawsze umiałem korzystać z okoliczności, ale mniejsza o to. Wracając do tych świąt, dzień Bożego Narodzenia (pomijając już poszanowanie należne świętej jego nazwie i Boskiemu początkowi, których pominąć nie można, myśląc o tym dniu ważnym) jest dla mnie najpiękniejszym dniem roku; chwilą dobroci, łagodności, przebaczania uraz, litości, zabawy, przyjemności, jedynym dniem, w którym wszyscy ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci, otwierają dobrowolnie serca, cieszą się, radują, zapominają o różnicy majątku i stanowiska, i widzą tylko w bliźnich braci i towarzyszów podróży na drodze do wieczności. Dlatego też chociaż dzień ten nie przyniósł mi nigdy w zysku ani złota, ani srebra, wielem mu winien dobrego, i wiele się jeszcze po nim spodziewam, dlatego to z radością wykrzykuję: „Niech będą pochwalone Święta Bożego Narodzenia.“

?Buchalter, przysłuchujący się z piwniczki, pomimowolnie przyklasnął, lecz spostrzegłszy natychmiast, że popełnił niedorzeczność, schwycił w pomieszaniu cęgi, chcąc niemi poprawić ogień i zagasił zupełnie ostatnią iskierkę.

?— Niech ja cię raz jeszcze posłyszę — zawołał z gniewem Scrooge do buchaltera, — to na powinszowanie Świąt Bożego Narodzenia natychmiast cię wypędzę! Co do pana — rzekł, zwracając się do siostrzeńca, — znakomitym jesteś mówcą. Dziwię się, że dotychczas nie zasiadasz w parlamencie.

?— Nie gniewaj się, wujaszku — oto wiesz co — lepiej przyjdź jutro do nas na obiad.

?Scrooge się zaperzył. — Idź mi do d... Tak, idź do d... — zawołał z uniesieniem.

?— Ależ dlaczego, mój wujaszku?... dlaczego?...

?— Pocoś się ożenił? — zapytał Scrooge.

?— Byłem zakochany.

?— Byłeś zakochany! — mruknął Scrooge. — Głupstwo — głupstwo. Dobranoc.

?— Mój wujaszku, wszakże przed mojem ożenieniem i tak nigdy mnie nie odwiedzałeś. Dlaczegoż więc szukasz w tem wymówki?

?— Dobranoc — rzekł Scrooge.

?— Nic od ciebie nie żądam — o nic cię nie proszę. Czemuż nie mamy być dobrymi przyjaciółmi?

?— Dobranoc!

?— Boli mnie — bardzo mnie boli twoja surowość i zaciętość. — Wszakże nic mi nie możesz zarzucić. Zrobiłem krok dzisiejszy dla uczczenia Bożego Narodzenia, i pomimo tej przykrości będę się radował. Tak więc, mój wuju — życzę ci wesołych świąt!

?— Dobranoc! — rzekł Scrooge.

?Siostrzeniec wyszedł z pokoju, nie wyrzekłszy ani jednego wyrazu niezadowolenia. Zatrzymał się chwilkę przed drzwiami drugiego pokoiku, dla złożenia życzeń buchalterowi; — ten, chociaż do szpiku przemarzły, gorętszym był jednak od Scrooge’a, gdyż serdecznie mu podziękował.

?— Masz tu tobie drugiego szaleńca — mruknął Scrooge z gniewem. — Mój buchalter, nędzarz, zarabiający piętnaście szylingów tygodniowo, obarczony żoną i dzieciakami, mówi mi o wesołych świętach. Dalibóg — trzeba uciekać do domu warjatów — może tam są rozsądniejsi ludzie.

?Ów szaleniec, pożegnawszy w sieni siostrzeńca Scrooge'a, wprowadził dwie nowe osoby. Byli to dwaj przyzwoici bardzo panowie, postawy ujmującej; w tej chwili stali grzecznie przed biurkiem Scrooge'a, zdjąwszy kapelusze; — trzymali w ręku papiery i regestry i powitali bankiera głębokim ukłonem.

?— Dom Handlowy Scrooge et Marley, jeżeli się nie mylę? — rzekł jeden z nich, zajrzawszy w listę. — Czy mam zaszczyt mówić z panem Scrooge, czy z panem Marley?

?— Pan Marley nie żyje od lat siedmiu — odpowiedział Scrooge. — Dzisiejszej nocy będzie lat siedm, jak umarł.

?— Nie wątpimy, że jego szczodrobliwość godnego ma przedstawiciela w pozostałym wspólniku — rzekł nieznajomy, podając Scrooge'owi pełnomocnictwo do zbierania składek.

?Miał zupełną słuszność; wspólnicy bowiem podobni byli do siebie jak dwie krople wody. Na ten niemiły wyraz szczodrobliwość Scrooge zmarszczył brwi, wstrząsnął głową i oddał nieznajomemu papiery.

?— W tak radosnej chwili jak teraźniejsza, szanowny panie Scrooge — rzekł tamten, biorąc za pióro, — więcej niż kiedykolwiek pożądaną jest rzeczą zebranie dla biednych i niezamożnych braci naszych jakiegokolwiek wsparcia. Jest tysiące takich, którym zbywa na najpierwszych potrzebach, sto tysięcy innych, nie będących w możności polepszenia chwilowo nawet swego bytu.

?— Czy niema więzień? — zapytał Scrooge.

?— Oh! jest ich aż zanadto — odpowiedział nieznajomy, upuszczając pióro.

?— A domy przytułku — mówił dalej Scrooge — byłyżby już zamknięte?

?— Przeciwnie, panie — rzekł drugi — i niech Bóg nie dopuści, aby się to wydarzyć miało.

?— A domy zarobkowe; — prawo o ubogich i żebrakach — czy zawsze są czynne i wykonywane? — rzekł Scrooge.

?— Zawsze; — domy są pełne, a prawo obmyśla środki ratunku i pomocy.

?— A ja się tak przeraziłem tem, coś mi pan powiedział, sądziłem bowiem, że jakieś nieprzewidziane okoliczności powstrzymały bieg tych pożytecznych zakładów. Cieszę się niewymownie z mojej pomyłki.

?— Przekonani, że instytucje te nie są w możności zaspokojenia potrzeb duchowych i materjalnych ogółu niezamożnych, niektórzy z nas starają się zebrać pewną kwotę pieniędzy, w zamiarze obrócenia jej na mięso, chleb i węgle dla nieszczęśliwych. Wybraliśmy obecną chwilę, ponieważ w tym właśnie czasie potrzeby są najdotkliwsze, niedostatek najboleśniej odczuwać się daje, a obfitość i zamożność większe niż kiedykolwiek sprawia zadowolenie.

?— Na ileż pan dobrodziej każe się wpisać?

?— Na nic! — odpowie Scrooge.

?— Pan zapewne pragnie ukryć nazwisko?

?— Pragnę, żebyście mi panowie dali pokój. Ponieważ zapytujecie mnie, czego sobie życzę, taka jest moja odpowiedź. Ja sam nie weselę się wcale na Boże Narodzenie, skądże więc tak dziwne żądanie, żebym dostarczał próżniakom środków zabawy i rozrywki. Płacę należne podatki, przyczyniam się więc do utrzymania zakładów, o których mówiłem, kosztują one bardzo dużo; — ci więc, którym tam jest niedogodnie, niech sobie szukają przytułku gdzie indziej.

?— Są tacy, którzy się docisnąć nie mogą — są znowu inni, którzyby woleli raczej umrzeć, niż...

?— Ah, jeżeli wolą umrzeć — przerwał Scrooge, — mają wielką słuszność; tym sposobem uniknie się przeludnienia. Zresztą, wybaczą mi panowie, ja nie znam tego wszystkiego.

?— Ale bardzoby panu łatwo przyszło z tem się obznajmić.

?— To do mnie nie należy — człowiek ma i tak dosyć zajęcia z własnemi interesami, żeby się miał jeszcze mieszać w to, co do niego nie należy. Moje interesy zabierają mi cały czas. Dobranoc panom.

?Zrozumiawszy wyraźnie, że dalsze przedstawienia żadnego nie wywrą skutku, dwaj nieznajomi odeszli — Scrooge wziął się na nowo do pracy, coraz więcej z siebie zadowolony, i w daleko lepszym niż zwykle humorze.

?Tymczasem mgła i ciemność tak się zwiększyły, że widać było na ulicy ludzi z zapalonemi pochodniami i latarniami, migających się tu i ówdzie, ofiarujących swe usługi woźnicom, aby biec przed końmi i prowadzić je po drodze. Odwieczna wieżyca kościelna, której starożytny wyszczerbiony dzwon zdawał się zawsze spoglądać ciekawie przez gotyckie, w murze wycięte okno, na Scrooge'a siedzącego przy biurku, znikła zupełnie we mgle, i biła godziny, półgodziny i kwadranse w obłoki, z tak przeciągłem drganiem i jękiem, jak gdyby szczękała zębami, osadzonemi gdzieś wysoko w olbrzymiej zmarzniętej czaszce. Zimno wzrastało. Gromadka rzemieślników, zajętych nitowaniem rur gazowych, rozpaliła na rogu ulicy wielkie żarzące się ognisko, około którego cisnął się tłum obdartych i drżących z zimna ludzi dorosłych i dzieci, grzejąc sobie ręce i pożerając niebieski płomień wzrokiem zachwycenia, wdzięczności i chciwości. Zamarzł kurek wodociągu, a wiszące wokoło grube lodowe sople przystroiły go w komiczno-przerażającą lodowatą brodę.

?Błyszczące światła magazynów rzucały czerwonawy odblask na blade twarze przechodniów. Sklepy rzeźników, korzenników i przekupniów drobiu przedstawiały widok uroczy i wspaniały, nie dozwalający wcale przypuszczać, aby poziome cele handlu i zysku miały jaką wspólność z tym artystycznym przepychem. Lord Mayor[1] w potężnym swym zamku Mansion-House wydawał rozkazy secinie kucharzy i piwniczych, dla przygotowania uroczystej Wilji, jak wypada na Lorda Mayora; a biedny krawiec, skazany przez niego w przeszłym tygodniu na pięć szylingów kary za pijaństwo i włóczęgostwo, przygotowywał na swem poddaszu jutrzejszy budyń, podczas gdy chuda jego połowica z dzieckiem na ręku biegła do sąsiedniego rzeźnika, by kupić kawał wołowiny.

?Mgła się powiększa — mróz wzrasta! Mróz trzaskający, srogi, przenikliwy. Gdyby święty Dunstan, zamiast chwytać szatana zwykłemi cęgami, uszczypał go w nos podobnem zimnem, dopierożby zły duch zawył przeraźliwie.

?Mały ulicznik, właściciel noska zsiniałego i ściśniętego, przez zajadły mróz, jak kość przez psów ogryziona, pochylił się pod drzwiami Scrooge'a, chcąc go uczcić piosnką, — lecz po pierwszych wyrazach: „Ej kolenda — kolenda!“ Scrooge porwał leżącą przed nim linję, z gestem tak wyrazistym, że przerażony śpiewak, pomimo mrozu, zemknął jak oparzony, zostawiając dziurkę od klucza mgle i lodowatej parze, które z sympatycznym i przyjaznym podmuchem pociągnęły ku swemu ulubieńcowi.

?Nadeszła wreszcie chwila zamknięcia kantoru.

?Scrooge, mrucząc, podniósł się z krzesła, dając tym sposobem buchalterowi niemy znak zamknięcia czynności i pozwolenie wyjścia, na co tamten już oddawna wyczekiwał z tłumioną niecierpliwością. Zgasił więc szybko świecę i wziął do ręki kapelusz.

?— Pewniebyś sobie życzył nie zajrzeć nawet do kantoru w dniu jutrzejszym? Tak mi się coś zdaje — rzekł Scrooge.

?— Jeżeli pan nie ma nic przeciw temu?

?— Mam bardzo wiele. A gdybym ci też wytrącił za ten dzień pensję, dopierobyś się dąsał i szemrał, żem cię pokrzywdził. Oh! — jestem o tem jak najmocniej przekonany.

?Buchalter gorzko się uśmiechnął.

?— A jednak wcale cię nie obchodzi moja krzywda i strata jaką ponoszę, płacąc ci za dzień, w którym nie będę z ciebie miał żadnego użytku.

?Buchalter ośmielił się zrobić uwagę, że to wydarzało się tylko jedyny raz do roku.

?— Wielka mi racja, co za usprawiedliwienie, aby mieć prawo sięgania do cudzej kieszeni dlatego, że to jest dzień dwudziestego piątego grudnia — odpowiedział Scrooge gniewliwie, zapinając surdut pod górę. — No — cóż robić — muszę ci darować dzień jutrzejszy, proszę mi tylko wynagrodzić tę stratę i w następnym dniu przyjść do kantoru wcześniej niż zwykle.

?Buchalter przyrzekł uroczyście, a Scrooge wyszedł, ruszając ramionami i pomrukując coś o lenistwie i próżniactwie. W mgnieniu oka zamknięto kantor, buchalter, pociągnąwszy aż do pasa końce białego wełnianego szalika (biedak nie marzył nawet o ciepłym bajowym paltocie) sunął, potknąwszy się ze dwadzieścia razy na szklistym chodniku, wyszlifowanym przez uliczników, szykujących od południa ślizgawki na cześć jutrzejszego święta; wreszcie wszedł w zaułki, śpiesząc się nagwałt do domu, żeby miał jeszcze czas zagrać z dziećmi w ślepą babkę.

?Scrooge zjadł lichy obiad w lichej garkuchni, gdzie się zwykle stołował. Przeczytawszy wszystkie dzienniki i uprzyjemniwszy sobie wieczór notowaniem w pugilaresie zysków w ciągu dnia osiągniętych i operacyj na pojutrze układanych, poszedł do siebie, aby się spać położyć. Zamieszkiwał lokal zajmowany niegdyś przez nieboszczyka wspólnika. Lokal ten składał się z kilku ciemnych pokoi, mieszczących się w dawnym, ponurym budynku, leżącym w zakręcie wąskiej uliczki, w tak dziwnem odosobnieniu, że mimowolnie nasuwała się każdemu myśl, iż ukrył się tam kiedyś, w odległej młodości, grając w chowanego z innemi domostwami, i że zmyliwszy drogę, nie mógł już wyleźć żadnym sposobem. Dziś budynek ten był stary i tem bardziej ponury, że nikt w nim nie mieszkał oprócz Scrooge'a, inne bowiem lokale wynajmowano na kantory i biura kupieckie. Dziedziniec tak był ciemny, że nawet Scrooge, znający doskonale każdy niemal kamyk, musiał iść poomacku. Mgła i gołoledź tak zawisły na ponurych drzwiach domu, że zdawało się, jakby ponury duch zimy rozsiadł się na progu, w smutnem pogrążony zamyśleniu. Ale do rzeczy. Jest fakt oczywisty, że kołatka, znajdująca się u drzwi, nie miała w sobie nic nadzwyczajnego, — może tylko była nieco za gruba, — faktem jest najprawdziwszym, że Scrooge widywał ją rano i wieczór codziennie, od kiedy mieszkał w tem miejscu; — że oprócz tego, Scrooge nie posiadał wcale, ale to ani szczypty tego, co to dziwaczni ludzie nazywają wyobraźnią, — tak jak to przystało na prawego mieszkańca starego miasta Londynu, nie wyłączając (przepraszam za moją śmiałość) szanownej korporacji kupców, bankierów, ławników i rajców staromiejskich. Trzeba także wiedzieć, że Scrooge ani razu nie pomyślał o Marley'u, od chwili obojętnej wzmianki, jaką zrobił poprzednio, mówiąc o zaszłej przed siedmiu laty śmierci byłego wspólnika. Proszę mi więc wytłumaczyć, jeżeli to da się wytłumaczyć, jakim sposobem Scrooge,

wsadzając klucz w zamek, ujrzał w kołatce (nie wyrzekłszy żadnych czarodziejskich zaklęć) nie kołatkę, ale... twarz Marley'a!

?Tak jest — powiadam wam, twarz, albo jeżeli wolicie, oblicze Marley'a. Nie był to cień zamglony i niewyraźny, jak inne przedmioty znajdujące się na dziedzińcu — przeciwnie, zjawisko okolone było przerażającym odbłyskiem, podobnym np. do zgniłego raka morskiego, rzuconego w kąt ciemnej piwnicy. Wyraz twarzy nie miał najmniejszej cechy gniewu lub drapieżności, — patrzała na Scrooge'a, jak to zwykle czynił Marley, przez wielkie okulary, podniesione na czoło upiora. Włosy rozrzucone miała dziwacznie, jak gdyby podmuchem wiatru, lub ciepłej pary, a chociaż oczy doskonale były otwarte, wszelako były najzupełniej nieruchome — stały słupem. Okoliczność ta połączona z grobową bladością czyniła ją straszliwą; lecz przerażenie, jakiego doznał Scrooge na ten widok, nie pochodziło ze zjawiska, jak raczej z niego samego. Gdy się jednak dobrze wpatrzył w widziadło, ujrzał poprostu kołatkę.

?Skłamałbym wierutnie, mówiąc, że nie zadrżał, lub że krew jego nie uczuła pewnego, bardzo niemiłego wrażenia, jakiego nie doznawał od lat najmłodszych. Wkrótce jednak ochłonął, ujął klucz z rąk wypuszczony, obrócił nim mocno, wszedł i zapalił świecę.

?Nim zamknął drzwi, zastanowił się przez chwilę w niepewności, zaczął się chyłkiem oglądać poza siebie, jak gdyby już był przygotowany do nowego wzruszenia i przerażenia, jakiego spodziewał się doznać na widok cienkiego i długiego harcapa Marley'a, wysuwającego się przez dziurkę od klucza. Nic jednak nie było na drugiej stronie drzwi, oprócz śrub i gwoździ, służących do przytwierdzenia zamka i młotka. Ochłonął więc i, wykrzyknąwszy: „Głupstwo! Głupstwo!" gwałtownie trzasnął drzwiami. Łoskot i stuk rozszedł się jak grom po całym domu. Każdy pokój na piętrze, każda beczka, każdy okseft złożony na dole, w piwnicy handlarza win, wydały oddzielny odgłos, śpieszący skwapliwie na przyjęcie udziału w tym olbrzymim ech koncercie. Scrooge atoli nie należał do rzędu ludzi, których echo może przerazić. Zamknął starannie drzwi, przeszedł sień, wszedł na schody, i po drodze zapalił świeczkę, którą zwykle nosił przy sobie.

?Znacie zapewne owe gościnne staroświeckie schody, po których mogłaby przejechać sześciokonna karoca; powiadam wam, a możecie mi wierzyć, że schody Scrooge'a tak były szerokie, iż nawet karawan mógłby się na nich wygodnie pomieścić, — i to porządny karawan. Może więc z tego powodu zdawało się Scrooge'owi, pogrążonemu w ciemności, że przed nim postępuje orszak pogrzebowy. Sześć płomieni gazowych zaledwie byłyby w stanie należycie oświecić sień i te schody, wyobraźcie więc sobie, jak tam musiało być ciemno przy cienkiej świeczce bankiera.

?Szedł dalej na górę, obojętny na wszystko. Ciemność niewiele kosztuje, dlatego Scrooge bardzo ją szanował. Nim jednak zamknął drzwi od mieszkania, zlustrował cały lokal, dla przekonania się, czy też wszystko jest w porządku.

?Salon, pokój sypialny, skład rupieci i gratów, wszystko było jak należy. Zajrzał pod stół (może wspomnienie widziadła krążyło mu po głowie i skłaniało do tej przezorności, to bardzo być może), nikogo pod stołem, nikogo pod kanapą, — mały ogień na kominku, filiżanka i łyżeczka przygotowane — do ognia przystawiony garnuszek z kleikiem (od kilku dni Scrooge jakoś niedomagał). Nikogo pod łóżkiem, nikogo w szlafroku, zawieszonym na kołku, w postawie wzbudzającej niejakie podejrzenie. Skład rupieci wyglądał jak zwykle, stare wilki żelazne od kuchni, kilka par bardzo zużytych butów, kosze połamane, zardzewiałe gwoździe, umywalnia, waliza, kuferek i t. p.

?Zupełnie uspokojony, popchnął zasuwkę, raz jeszcze obejrzał zamek, zakręcił klucz na dwa razy; tak ubezpieczony od wszelkiej niespodzianki, rozebrał się, zdjął krawat, wdział szlafrok, pantofle, szlafmycę i zasiadł przed kominkiem, zabierając się do wypicia kleiku.

?Mówiłem wam, że ogień był bardzo mały — rzeczywiście tak maleńki, że niczem był prawie, szczególniej na tak zimną noc. Musiał się więc bardzo blisko przysunąć, prawie ogrzewać go sobą, nim zdołał wydobyć jakiekolwiek uczucie ciepła z węgielka tak małego i ostygłego, że każdy z nas utrzymałby go na dłoni. Komin wystawiony był oddawna, zapewne przez jakiegoś kupca holenderskiego, ponieważ składał się z kafli flamandzkich, przedstawiających różne ustępy z pisma Świętego. Na jednym był Kain, na drugim Abel, dalej córka Faraona; — królowa Saba, aniołki spadające z nieba na chmurach podobnych do piernatów, Abraham, Baltazar, apostołowie w łódkach, mających kształt półmisków i salaterek, słowem mnóstwo postaci zdolnych przyjemnie rozerwać i zająć, pomimo to ta twarz Marley'a, od lat siedmiu zmarłego, jak laska czarodziejska wszystko przyćmiewała. Gdyby każdy polerowany kafel był tylko pustem tłem, zdolnem odbić w swych ramach cząsteczki rozerwanych myśli Scrooge'a, ręczę wam, że każdy kafelek przedstawiłby wyborną kopję głowy starego Marley'a. „Głupstwo!" zawołał Scrooge, „głupstwo!" i zaczął chodzić wzdłuż i wszerz pokoju. Powtórzywszy i ten spacer kilkanaście razy, siadł znowu. W chwili gdy spuszczał głowę na wezgłowie fotelu i podniósł oczy do góry, wzrok jego padł przypadkiem na wyszły oddawna z użycia dzwonek przybity nad kominem, a który dla niewiadomych mu celów połączony był drutem z piwnicą. Z nadzwyczajnem zdziwieniem, z niesłychanem przerażeniem ujrzał, że dzwonek, w chwili gdy nań spojrzał, zaczął się poruszać, zpoczątku bardzo wolno, łagodnie, wydając dźwięk cichy, stłumiony, potem coraz silniej, gwałtowniej, wreszcie wszystkie dzwonki w całem mieszkaniu zabrzęczały jak na alarm.

?Trwało to krótko, — pół minuty, najwięcej minutę; ale ta minuta była dla Scrooge'a godziną. Dzwonki, tak jak zaczęły, tak się też zatrzymały, wszystkie naraz. Dźwięk ich ustąpił miejsca odgłosowi metalicznemu, wydobywającemu się z otchłani, jak gdyby ktoś przeciągał długi żelazny łańcuch po wszystkich beczkach złożonych w piwnicy winiarza. Przypomniał sobie wówczas Scrooge, jak mu w dzieciństwie opowiadała niańka, iż w domach, gdzie się pokazują duchy, ciągną one za sobą zawsze więzy i okowy.

?Drzwi piwnicy otwarły się z przeraźliwym łoskotem, słyszał dokładnie odgłos łańcuchów wydobywający się wgórę, zatrzymujący się w sieni, rosnący na schodach, wyraźnie zmierzający w kierunku jego mieszkania.

?— Głupstwo! — głupstwo! — wszystko to głupstwo — nie chcę tego przypuścić!

?Porządnie się jednak zmieszał, zbladł jak trup, gdy jakieś widmo bez żadnej przeszkody przecisnęło się wskroś potężne drzwi, wsunęło do pokoju i ukazało jego oczom. W chwili gdy się duch zjawiał, maleńki ogień, na kominku tlejący, wzmógł się gwałtownie, a w trzasku węgli dało się wyraźnie słyszeć: „Poznaję go, poznaję, jest to widmo Marley'a." Potem ogień zgasł.

?Taż sama twarz — zupełnie ta sama. Marley z długim harcapem, w zwykłej kamizelce, w codziennych krótkich spodniach, w butach węgierskich, których jedwabne kutasy poruszały się w takt z harcapem, z zaplamionemi połami surduta, — a czub — czub zdjęty z czaszki Marley'a. Łańcuch, który wlókł za sobą, przytwierdzony u bioder — był bardzo długi, krępował go kilkakrotnie i tworzył rodzaj ogona, składającego się (jak się o tem Scrooge przekonał naocznie) z dziwacznej mieszaniny poskuwanych ryglów, kłódek, kluczy, ksiąg buchalteryjnych, opatrzonych mosiężnemi klamrami i z ciężkich worków stalowych. Ciało widma było tak przezroczyste, że Scrooge, wpatrzywszy się weń z natężoną uwagą, widział wyraźnie dwa guziczki, przyszyte ztyłu u stanu surduta.

?Scrooge często słyszał, że Marley nie miał serca i wnętrzności, lecz nigdy temu nie wierzył, dziś jednak przekonał się naocznie.

?Tak i nie — albowiem jeszcze nie wierzył; chociaż wzrokiem nawylot przeszywał widmo, chociaż widział je przed sobą, chociaż czuł lodowaty wpływ oczu, zastygłych pod wrażeniem śmierci, chociaż poznał wyraźnie deseń chustki jedwabnej, pokrywającej wierzch głowy i związanej pod brodą (kupili niegdyś do spółki tuzin tych chustek), jeszcze nie chciał uwierzyć, walcząc uporczywie z własnemi zmysłami.

?— Cóż to ma znaczyć? — rzekł Scrooge zimno i krótko. — Czego żądasz ode mnie?

?— Wiele — bardzo wiele!

?Jest to głos Marley'a — teraz już nie ma najmniejszej wątpliwości.

?— Kto jesteś?

?— Zapytaj raczej, kim byłem?

?— Kimże więc byłeś? — rzekł Scrooge, podnosząc głos. — Jak na upiora, zbyt chwytasz na słówka.

?— Za życia byłem twoim wspólnikiem, — zwałem się Jakób Marley.

?— Czy mógłbyś... czy możesz usiąść — zapytał Scrooge, — przypatrując mu się z niedowierzaniem.

?— Mogę.

?— Siadaj więc.

?Scrooge zrobił powyższe zapytanie, ponieważ wątpił, aby tak przezroczyste widmo posiadało wszystkie warunki cielesne, konieczne do zajęcia miejsca na krześle — czuł więc, że jeśli przypadkiem duch nie będzie w stanie spełnić tej propozycji, nastąpi zaraz wyjaśnienie i tłumaczenie całego zjawiska. Lecz widmo siadło naprzeciw niego, po drugiej stronie komina, bez najmniejszej trudności.

?— Jeszcze we mnie nie wierzysz? — rzekł duch.

?— Nie wierzę — odpowiedział Scrooge.

?— Jakiegoż więc żądasz dowodu — oprócz świadectwa własnych zmysłów?

?— Sam nie wiem.

?— Czyż wątpisz o dokładności zmysłów — wzroku — słuchu?

?— Wątpię — ponieważ najmniejsza rzecz może je nadwyrężyć — lekka niestrawność żołądkowa oddziaływa na zmysły, i dlatego może ty jesteś niedogotowanym kawałkiem wołowiny, niestrawioną łyżeczką musztardy, sera, — albo ja wiem? Czuć cię wszystkiem, ale nie trumną.

?Scrooge nigdy nie dowcipkował, na ten raz uciekł się do tego środka, chcąc tym sposobem zyskać na czasie, zebrać roztargnione myśli, przezwyciężyć strach, albowiem głos widma przejmował go dreszczem i ścinał mu szpik w kościach.

?Siedzieć przez chwilę z wzrokiem wlepionym w te oczy nieruchome, szkliste, było dla Scrooge'a piekielną męczarnią. Oprócz tego w powietrzu otaczającem widmo było coś nadludzkiego, szatańskiego. Scrooge nietylko czuł, ale widział to powietrze, chociaż bowiem widmo siedziało najnieruchomiej, wszelako jego włosy, poły ubioru, kutasy od butów w ciągłem zostawały poruszeniu, jakby pod wpływem wilgotnej i ciepłej pary, wydobywającej się z kotła.

?— Czy widzisz to piórko? — rzekł nagle Scrooge do ducha, chcąc się otrząsnąć z przerażenia, a zarazem na chwilkę odwrócić od siebie zimny jak marmur wzrok widma.

?— Widzę — odpowiedział upiór.

?— Kiedy wcale nie patrzysz w tę stronę — dodał Scrooge.

?— To mi jednak nie przeszkadza widzieć doskonale, — rzekł duch.

?— Otóż — mówił dalej Scrooge — przypuśćmy, że je połknąłem. Ileż się z tego wywiąże cierpień — chorób, gorączek, widziadeł. Wszystko z mojej winy i mego własnego przywidzenia. Głupstwo! powtarzam — głupstwo!...

?Na ten wyraz duch zawył przeraźliwie i wstrząsnął łańcuchami, które wydały szczęk przeciągły, grobowy, straszliwy, tak że Scrooge, aby nie upaść, wpił się paznokciami w poręcze fotelu.

?Lecz o ileż wzmogło się jego przerażenie, gdy duch, któremu zapewne za gorąco było w pokoju, zdjął chustkę, którą miał związaną głowę, a wtedy dolna szczęka z suchym chrzęstem opadła mu na piersi.

?Scrooge padł na kolana i zakrył twarz rękoma.

?— Litości! — zawołał — litości — straszliwy cieniu! Pocóż przychodzisz mnie dręczyć?

?— Duszo podła i ziemska! — odpowiedziało widmo! — wierzyszże, czy nie wierzysz teraz?

?— Wierzę — jęknął Scrooge, — muszę wierzyć. Lecz dlaczego duchy wałęsają się po ziemi — dlaczego mnie prześladują?

?— Przeznaczeniem jest każdego człowieka — mówiło widmo, — aby żył z bliźnimi, uczestniczył w ich zajęciach, mieszał się do ich spraw, przestawał z nimi, wspólnie się radował i wspólnie cierpiał; — czego jeśli zaniedbał za życia, dusza jego skazana jest na tułactwo po świecie (Oh! ja nieszczęśliwy!) i musi być bezużytecznym świadkiem rzeczy, w których nie może już brać udziału; kiedy przeciwnie, za życia, mogła była używać razem z innymi i pracować dla ich i własnego szczęścia.

?Duch jęknął znowu, zadzwonił łańcuchami i załamał rozpaczliwie ręce.

?— Jesteś okuty! — rzekł Scrooge drżący — powiedz mi za co?

?— Dźwigam kajdany, które sam kowalem przez całe życie — odpowiedziało widmo. — Tak jest — sam spajałem ogniwo z ogniwem, sam dorabiałem łokieć za łokciem, sam, swobodnie, dobrowolnie skrępowałem tym łańcuchem ciało moje i dźwigać go będę przez całą wieczność. Dziwnemi ci się wydają te więzy, — przypatrz się im bliżej.

?Scrooge drżał jak liść.

?— Może chcesz poznać, — mówił dalej — długość i ciężar niezmiernego łańcucha, jaki ty sam ciągniesz za sobą. Dziś, jest temu lat siedm — twój był równie długi i ciężki jak ten, który tu widzisz. Dorabiałeś go potem przez lat siedm. — Porządny musi być łańcuch.

?Scrooge obejrzał się na wszystkie strony, przekonany, że się ujrzy okutym w kilkadziesiąt sążni żelaznej liny — lecz nic nie było.

?— Jakóbie! — rzekł tonem błagalnym — poczciwy mój Jakóbie Marley — powiedz mi co innego... Rzuć mi kilka wyrazów pociechy.

?— Nie mam prawa — nie mam władzy pocieszyciela. Pociechy przychodzą skąd inąd, Ebenezerze Scrooge — niosą je inni posłańcy innym, jak ty, ludziom. Nie mogę ci wszystkiego wypowiedzieć — związane mam usta. Mało mi pozostaje czasu. Nie wolno mi odpoczywać — nie wolno się zatrzymywać — nie wolno długo na jednem przebywać miejscu. Wiesz dobrze, że duch mój nigdy się nie przebił poza ciasny obręb naszego kantoru, że nigdy nie przekroczył progów kasy — dlatego teraz tyle ciężkich i długich podróży mam jeszcze do odbycia.

?Scrooge miał zwyczaj w chwilach głębokiego zamyślenia wsadzać ręce do kieszeni. Zastanawiając się nad wyrazami widma, powtórzył ten gest, nie podnosząc się z ziemi.

?— Zapewne, — straszne to wędrówki, — musiałeś bardzo się opóźnić za życia, Jakóbie? — dodał z pokorą i obawą.

?— Opóźnić! — powiedz zaniedbać — rzekł duch.

?— Od siedmiu lat zmarły — wybąkał Scrooge — i ciągle w drodze.

?— Tak — przez cały ten czas, — bez odpoczynku — bez wytchnienia — wieczne zgryzoty i udręczenia sumienia.

?— Czy szybko podróżujesz?

?— Na skrzydłach wiatru.

?— Przez ten czas ileż to zwiedziłeś krajów?

?Upiór, usłyszawszy te wyrazy, wydał przytłumiony okrzyk i taki sprawił szczęk, że Scrooge'owi włosy powstały na głowie i oddech w gardle się zatrzymał.

?— Okuty — uwięziony, — skazany na tułactwo, za to, że zapomniałem, iż każdy człowiek powinien brać udział w wielkiej pracy ludzkości, nakazanej przez Istotę Najwyższą. Za to, że nie pamiętałem, iż cała wieczność żalów, skarg i cierpień nie wynagrodzi chwil straconych, których dobrze można było użyć za życia. A jednak ciągle postępowałem tą drogą zapomnienia — tak — ciągle nią postępowałem.

?— Byłeś zawsze bardzo sumienny — bardzo akuratny, zręczny i obrotny w interesach — wtrącił Scrooge, który w tej właśnie chwili przebiegał myślą własny swój żywot.

?— Interesy! — jęknął duch, znowu załamując ręce. — Interesy! ludzkość była moim interesem; — dobro publiczne było moim interesem, miłość bliźniego, — litość — pobłażanie i dobroć — to było moim interesem; — tak — to powinno było mnie jedynie zajmować. Operacje handlowe są kroplą w wielkim oceanie spraw ludzkości, do których Bóg powołuje każdego człowieka.

?Wzniósł wgórę ręce, obciążone okowami, jak gdyby chciał okazać Scrooge'owi cały owoc swych prac, zabiegów i próżnych wysileń; następnie rozpaczliwie opuścił je ku ziemi.

?— W teraźniejszej mianowicie epoce, w chwili kończącego się roku — cierpię najdotkliwsze męki. — Dlaczegóż? ach, dlaczegóż, będąc na ziemi, przesuwałem się w tłumie bliźnich z oczyma wlepionemi w sprawy doczesne, dlaczegóż nie wzniosłem ich nigdy w niebo, ku tej gwieździe, cudownej przewodniczce królów do Żłobu Zbawiciela? Jak gdyby na ziemi zbrakło już ubogich i nędznych mieszkań, do których mogła była mnie poprowadzić jej Boska światłość?

?Scrooge niezmiernie się przeraził, słysząc te dziwne i niezrozumiałe wyrazy, wyrzeczone tonem poważnym i łkającym, drżał i trząsł się jak w febrze.

?— Posłuchaj mnie — zawołał duch, — czas ucieka — moja chwila nadchodzi!

?— Słucham — rzekł Scrooge płaczliwie — słucham — lecz oszczędzaj mnie, Jakóbku — ulituj się nade mną — nie bądź zbyt wymowny.

?— Nie wiem — nie umiem ci zdać sprawy, z jakiego dopuszczenia stanąłem dziś przed tobą w postawie ziemskiej i dotykalnej.

?Niejednokrotnie, — często, bardzo często, znajdowałem się przy tobie niewidzialny.

?Na tę niemiłą wiadomość Scrooge'a przebiegł dreszcz śmiertelny — zaczął ocierać pot lodowaty, płynący mu strumieniem z czoła.

?— Dziś przyszedłem cię ostrzec, iż pozostaje ci jeszcze promyk nadziei, środek ratunku i nadzieja uniknięcia przeznaczenia, jakie mnie dotknęło, — tę nadzieję, ratunku i ocalenia podaję ci, Ebenezerze.

?— Tyś był mi zawsze dobrym i życzliwym przyjacielem — Marley'u — tyś..... tyś mi zapisał majątek..... — rzekł Scrooge.

?— Nawiedzą cię trzy jeszcze duchy — dodało widmo.

?Scrooge zbladł jak trup.

?— Więc to ma być ta nadzieja ratunku i zbawienia, o której mi mówisz, Jakóbie — zapytał konającym głosem.

?— Tak.

?— Ja — ja... jabym wolał co innego... — rzekł Scrooge — tak sądzę...

?— Bez tych odwiedzin — mówił duch — niema dla ciebie ratunku. Przygotuj się i czekaj pierwszych odwiedzin jutro, gdy na wieży wybije godzina pierwsza po północy.

?— Czy wszyscy trzej nie mogliby przyjść odrazu, toby im i mnie oszczędziło czasu — podsunął Scrooge.

?— Oczekuj drugiego o tejże godzinie nocy następnej, trzeciego w trzecią noc zkolei, w chwili ostatniego uderzenia północy. Mnie już nigdy nie ujrzysz — lecz dla twego własnego dobra, dla twego zbawienia — pamiętaj o tem, co zaszło między nami.

?To wyrzekłszy, widmo podniosło chustkę i podwiązało nią głowę. Domyślił się tego Scrooge, posłyszawszy chrzęst zębów, gdy obie szczęki znowu się zetknęły. Wzniósł wtedy oczy i ujrzał, że duch stał przed nim i poprawiał na sobie łańcuch.

?Widmo oddalało się, cofając..... za każdym krokiem okno zwolna się odmykało — tak, że gdy duch przysunął się do krawędzi, całkiem już było otwarte. Dał znak Scrooge'owi, aby się przybliżył. Usłuchał. Gdy byli od siebie o dwa kroki, wzniósł rękę i wskazał mu, aby nie szedł dalej. Scrooge się zatrzymał, nietyle przez posłuszeństwo, ile ze strachu i obawy, w chwili bowiem gdy widmo podnosiło rękę, usłyszał w powietrzu niepokojący szmer — jakieś pomieszane odgłosy jęków i rozpaczy, skarg i smutnych żalów, łkań i utyskiwań. Widmo wsłuchiwało się przez chwilę — westchnęło głęboko — zlało się westchnieniem z tym czyśćcowym chórem i rozpłynęło na tle bladej i ponurej nocy.

?Scrooge gorączkowo zbliżył się do okna i, pchnięty niewidzialną siłą, wyjrzał nazewnątrz.

?Powietrze pełne było błędnych cieniów i ogników, dusz pokutujących, wydających w przelocie głębokie westchnienia. Każdy cień dźwigał okowy podobne do łańcucha Marley'a, — niektóre skute były po kilkoro razem, żaden nie bujał wolno. Wielu Scrooge znał osobiście; — z jednym był nawet w ścisłych stosunkach handlowych, — poznał go po białej kamizelce, złotych okularach i złośliwym uśmiechu. Miał do prawej nogi przybitą ogromną żelazną kulę i olbrzymi łańcuch, — jęczał i czynił wysilenia, aby przyjść w pomoc biednej kobiecie z dzieckiem na ręku, żebrzącej o wsparcie. Udręczenia i katusze cieniów na tem głównie polegały, iż napróżno starali się wyświadczyć jaki dobry uczynek, przez którego zaniedbanie za życia sprawili bliźniemu nieszczęście. Wszystko było poniewczasie.

?Czy te fantastyczne istoty rozpłynęły się we mgle, czy też mgła je owionęła, Scrooge nie mógł tego rozpoznać, jednak cienie i głosy niknęły stopniowo, przepadły gdzieś w przestworzach, powróciła noc taka, jaka była w chwili, gdy Scrooge wchodził do mieszkania. Zamknął okno starannie, obejrzał drzwi, któremi się duch prześliznął. Zamknięte były na dwa spusty jak przedtem, klamka, klucz i zasuwka nie nosiły najmniejszego znaku poruszenia. Już, już chciał wymówić wyraz: „głupstwo!", lecz zastanowił się w połowie. Czy to skutkiem pracy w kantorze, czy to skutkiem wysileń i wrażeń doznanych poprzednio, czy też skutkiem rozmowy z widmem, czy z powodu późnej godziny, czuł się niezmiernie zmęczonym — zawlókł się do łóżka, rzucił się, nie rozbierając, i padł, pogrążony we śnie letargicznym.

II

Pierwszy z trzech duchów

?Gdy Scrooge się ocknął, tak było ciemno, że patrząc z łóżka, mógł zaledwie rozeznać przezroczyste okno na tle szarych ścian pokoju. Usiłował przebić ciemność oczyma łasicy, gdy zegar sąsiedniego kościoła wybił cztery kwadranse. Scrooge nadstawił oba uszy, chcąc się dowiedzieć godziny.

?Ku wielkiemu jego zdziwieniu ciężki dzwon wybił sześć, siedm, potem ośm, następnie dziewięć i tak dalej, aż do dwunastu; wtedy się zatrzymał. Północ! Było kilka minut po drugiej, gdy się spać położył. Widać, że zegar źle idzie. Może sopel lodu wpadł w środek werku. Północ!...

?Scrooge nacisnął sprężynę leżącego przy nim repetjera, aby sprawdzić niedokładność zegara wieżowego. Maleńki młoteczek zegarka wybił z szybkością dwanaście uderzeń i zatrzymał się.

?— Co to znaczy! To być nie może — rzekł Scrooge, — jabym miał przespać dzień cały i część następnej nocy? Nie może być, aby się coś przytrafiło słońcu i żeby w południe miała być północ.

?Myśl ta zaczęła go cokolwiek niepokoić, — wyskoczył z łóżka i poomacku zbliżył się do okna. Musiał rękawem szlafroka przetrzeć zamarznięte szyby, nim mógł cokolwiek dojrzeć, a i tak niewiele widział. Spostrzegł tylko, że mgła była zawsze bardzo gęsta, a mróz był siarczysty, nie słyszał nazewnątrz żadnego szmeru, żadnego ruchu, żadnego biegania, co jednak miałoby niewątpliwie miejsce, gdyby noc wygnała dzień i objęła nieprzerwane panowanie nad światem! Odetchnął spokojniej, bo w cóżby się obróciły jego weksle, płatne we dnie, a nie w nocy.

?Scrooge, wracając do łóżka, zaczął myśleć, przemyślać, znowu myśleć i zastanawiać się, nic a nic nie pojmując. Im więcej się zastanawiał, tem więcej się wikłał, — im bardziej odtrącał od siebie te myśli tem więcej jeszcze myślał. Widmo Marley'a wielce go niepokoiło. Ilekroć po głębokim rozbiorze wyrozumował sobie, że wszystko było snem, przywidzeniem, umysł jego jak sprężyna, którą

przestaną naciskać odskakiwał i nagle powracał do pierwszego położenia przedstawiając się w postaci następnego zagadnienia, byłże to, czy nie był sen?

?Scrooge pozostał w tym stanie, dopóki zegar nie wydzwonił trzech kwadransy; — wtedy przypomniał sobie nagle, że widmo zapowiedziało mu odwiedziny na godzinę pierwszą. Postanowił czuwać do tej chwil co było bardzo naturalne, tak bowiem był rozdrażniony, iż łatwiej byłoby mu schwytać księżyc zębami, aniżeli usnąć naprawdę.

?Kwadrans wydał mu się niezmiernie długim, tak długim, iż kilkakrotnie sądził, że się zdrzemnął, i nie słyszał bijącej godziny. Wreszcie dźwięk zegara uderzył jego czujna ucho.

?— Bę — kwadrans — rzekł Scrooge.

?— Bę — bę — wpół.

?— Bę — bę — bę — trzy kwadranse.

?— Bęęę — pierwsza, pierwsza! — wykrzyknął z radością, — a nikt nie przybywa. — Wymówił to zanim ucichł zegar, lecz w chwili gdy ostatni przeciągły, poważny, grobowy dźwięk cichł w powietrzu, — w pokoju zajaśniało żywe światło i rozsunęły się firanki, wiszące nad jego łóżkiem.

?Rozsunęły się firanki — tak jest — upewniam was; nie te, który wisiały u nóg, lub w głowach, lecz boczne, ku którym miał twarz zwróconą. Rozsunęły się gwałtownie, a Scrooge, zerwawszy się z łóżka, spotkał się oko w oko z nadziemskiem zjawiskiem.

?Dziwna to była postać... dziecięca, a zarazem podobna do starca, który w dalekiej, bardzo dalekiej odległości, maleje w naszych oczach i zmniejsza się do kształtu dziecka. Włosy jego, spływając po szyi i ramionach, były bieluteńkie, jak gdyby skutkiem starości, na licu jednak nie było najmniejszej zmarszczki, twarz gładka jak atłas błyszczała najdelikatniejszym rumieńcem. Ramiona miał długie i żylaste, tak samo i ręce, jak gdyby posiadał niezwykłą siłę. Nogi kształtne zupełnie były nagie. Miał na sobie zarzuconą tunikę najczystszej śnieżnej białości, ściągniętą w biodrach błyszczącym pasem, żywe rzucającym światło. Trzymał w ręku gałązkę świeżej choiny, a przez szczególną sprzeczność z tą oznaką zimy tunika jego przybrana była w wieńce i girlandy z najpiękniejszych kwiatów letnich. Co jednak było najdziwniejsze, to wytryskający z wierzchołka głowy strumień światła, przy którego blasku wszystko najdoskonalej można było widzieć; — zamiast kapelusza trzymał w ręku wielki śpiczasty gasielnik, którym zapewne, w chwilach smutku lub zamyślenia, nakrywał głowę i przytłumiał rażące światło. Wpatrując się bliżej, Scrooge nową dostrzegł osobliwość. Ponieważ, jak wam mówiłem, pas widziadła był jaśniejący, połyskiwał więc raz w tym, drugi raz w innym punkcie; tak że to miejsce pasa, które przed chwilą błyszczało, nagle stawało się zupełnie ciemnem, a natomiast i niespodziewanie jasność biła z innego punktu; — tym samym drganiom i przeobrażeniom ulegała cała postać. Raz zdawało się, że to jest istota o jednej tylko ręce, o jednej nodze; to znowu o dwudziestu może rękach i dwudziestu nogach — chwilami ukazywał się tułów bez głowy, — natychmiast potem głowa bez kadłuba, — a niknące nagle członki pogrążały się w nieprzedartej ciemności, żeby potem zbiegłszy się znowu, uwydatnić postać taką, jaką była w pierwszej chwili ukazania się.

?— Panie — zapytał Scrooge — czy ty jesteś duchem, którego przyjście zapowiedzianem mi było?

?— Ja nim jestem.

?Głos był słodki i przyjemny, bardzo cichy, stłumiony, jak gdyby dolatujący zdaleka.

?— Któż jesteś? — rzekł Scrooge.

?— Jestem duch ubiegłych Wilij Bożego Narodzenia.

?— Czy oddawna ubiegłych?

?— Tak i nie.

?Scrooge, nie wiedząc sam dlaczego, uczuł gwałtowną chętkę widzenia ducha z głową nakrytą gasielnikiem — po chwili wahania poprosił go o to.

?— Jakto! — zawołało widmo, — chciałbyś więc natychmiast przygasić światło niebieskie, jakie ci przynoszę. Czyż niedość, że samolubstwo ludzi sprawiło mi ten kapelusz i zmusza mnie nieraz wciskać go na głowę, abym nie oświecał mym blaskiem zbrodni i nadużyć, hańbiących ród ludzki.

?Scrooge z pokorą wymawiał się, że nie miał żadnego zamiaru obrażenia go. Potem ośmielił się zapytać, co go rzeczywiście sprowadza.

?— Twe szczęście — odpowiedziało widmo.

?Scrooge wynurzył najgłębszą wdzięczność, lecz nie mógł zaprzeczyć sobie, że sen niezakłócony i noc zupełnie spokojna byłyby mu także pomogły do szczęścia. Duch musiał dosłyszeć jego wewnętrzną rozmowę, ponieważ dodał...

?— Wreszcie — twoje nawrócenie; — miej się na baczności!

?Mówiąc tak, wyciągnął rękę i zlekka schwycił go za ramię.

?— Powstań — i chodź ze mną.

?Napróżno Scrooge byłby go chciał przekonywać, że ani czas, ani godzina nie mogą sprzyjać przechadzce, że miał wygrzane łóżko, a na dworze było przejmujące zimno, — że był za lekko ubrany, że miał tylko szlafrok, pantofle i cienką szlafmycę, i nadewszystko, że strasznie był zakatarzony. Nie można się było oprzeć uściskowi ducha, lekkiemu jak dotknięcie ręki kobiecej, silnemu jak kleszcze żelazne. Podniósł się, — lecz spostrzegłszy, że duch zmierza do okna, złożył ręce i pochylił się w postawie błagalnej.

?— Jestem śmiertelny — zawołał, — zatem skłonny do upadku.

?— Pozwól, abym cię tylko tu dotknął — rzekł duch, kładąc mu rękę na sercu, — a wyjdziesz zwycięsko z prób najcięższych i jeszcze niebezpieczniejszych.

?Tak rozmawiając, przemknęli się przez okno i znaleźli się na gościńcu, biegnącym środkiem pól i łąk. Miasto znikło w dali — bez śladu. — Jednocześnie mgła i ciemność nocy ustąpiły miejsca jasnemu zimowemu dniowi; — błyszczący śnieg pokrywał ziemię.

?— Mój Boże — mój dobry Boże, — zawołał Scrooge, składając ręce i wodząc zdumionym wzrokiem na wszystkie strony. — Wszakże to w tych miejscach się wychowałem — tu — tu spędziłem dziecięce moje lata!

?Duch spojrzał nań z dobrocią. Słodki ten wzrok, trwający chwilkę, obudził wzruszenie starca. Uczuł się pod wpływem tysiącznych wrażeń, woniejących w powietrzu, a każde wrażenie było w związku z tysiącem myśli, marzeń, nadziej, radości, zajęć, kłopotów, od dawna — od bardzo dawna zapomnianych.

?— Usta twe drżą — rzekł duch. — Co ci jest?

?— Eh! to nic — nic — odpowiedział Scrooge, głosem nadzwyczaj wzruszonym. — To tak tylko! — prowadź mnie, gdzie chcesz — błagam cię.

?— Czy przypominasz sobie tę drogę?

?— Jakto — czy ją sobie przypominam — zawołał Scrooge z zapałem, — mogę iść po niej z zawiązanemi oczyma.

?— Dziwna rzecz, że o niej przez tyle lat zupełnie nie pamiętałeś — dodał duch.

?Szli tak wzdłuż drogi, a Scrooge poznawał każde drzwi, każdą chałupę, każdy płot, każde drzewo, aż wreszcie ukazała się w dali mała wioseczka, kościołek, mostek i wąska, a kręta i spadzista struga. Naraz wybiegło tu i ówdzie kilka koników, siedzieli na nich mali chłopcy, wołający radośnie i wzywający po imieniu innych chłopczyków, jadących w chłopskich wozach i mieszczańskich najtyczankach. Cała ta dzieciarnia była bardzo ożywiona, — tysiące okrzyków rozlatywało się na wszystkie strony, aż wreszcie poruszone tym hałasem powietrze zawtórowało im radosnym i wesołym podmuchem wiatru.

?— Są to cienie rzeczy i istot przeszłych — rzekł duch. — Nie wiedzą wcale o naszej obecności, — nie domyślają się tego.

?Wesołe grono małych podróżników zbliżało się coraz bardziej.

?Scrooge poznał ich i każdego nazywał po imieniu.

?— Mój Boże — Jaś — tak, Jaś — Franuś — a tu, tu Piotrek — tak Piotruś. Co się ze mną dzieje?

?Czegoż się tak cieszył, jak nigdy; — dlaczego oko jego, zwykle ponure i przyćmione — rzucało radosne promienie — dlaczego serce mu biło gwałtownie przy każdem spotkaniu. Dlaczegoż mało nie wyskoczył ze skóry, usłyszawszy, jak sobie życzyli wzajemnie wesołych świąt, gdy który na skręcie drogi opuszczał gromadę i w boczną oddalał się drogę, prowadzącą do mieszkania rodziców, krewnych lub przyjaciół. Powiedzcie mi: dlaczego? Czemże było dla Scrooge'a Boże Narodzenie — co go mogło obchodzić Boże Narodzenie — jaki mu zysk kiedy przyniosło.

?— Szkoła niezupełnie jeszcze jest opuszczona — rzekło widmo. — Pozostało tam samotne, zapomniane przez przyjaciół dziecię!

?Scrooge westchnął głęboko.

?Minęli gościniec i skierowali się krętym, dobrze Scrooge'owi znajomym manowcem; zbliżyli się wkrótce do wielkiego budynku z cegieł nietynkowanych, ciemno-czerwonych — na dachu, pod szczytem, zawieszony był dzwonek. Budynek był obszerny, a powierzchowność jego świadczyła o zmienności losów, — ściany były wilgotne i omszałe, okna potłuczone, drzwi popaczone. Kury gdakały i biegały po wszystkich kątach, — w stajniach, szopach i na dziedzińcu rosła trawa i zielsko. Zewnętrznej części odpowiadało wnętrze; wszedłszy w ponury przedsionek i rzuciwszy okiem przez otwarte drzwi kilku obszernych pokoi, dawało się widzieć umeblowanie, skromne, biedne; — czuć było w powietrzu zimną, samotną woń długiego zamknięcia, — wszystko oddychało niedostatkiem dotkliwym, który się kazał domyślać, że mieszkańcy wstawali przede dniem dla zapracowania kawałka chleba powszedniego, a i tak zapewne często kładli się spać głodni.

?Duch i Scrooge, przeszedłszy sień, zbliżyli się do drzwi leżących na stronie przeciwległej. Otwarły się przed nimi, i ukazała się sala długa, smutna, pusta, a szeregi ławek i stołów szkolnych z sośniny potęgowały jeszcze tę samotnię. W rogu jednej ławki, w bliskości tlejącego ognia, siedziało samotne

dziecię, pogrążone w czytaniu. Na ten widok Scrooge usiadł na ławce i gorzko zapłakał, poznawszy w tem dziecku siebie, jak zwykle wówczas samotnego, opuszczonego, zapomnianego.

?Najmniejszy szmer, pisk myszy wojujących po kątach i w dziurach, szelest wiatru poruszającego suchemi gałęziami wycieńczonej i zeschłej topoli, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi, trzask ognia w kominie, krople wody spadające z rury wpółobmarzniętej studni, słowem, najniewyraźniejszy szmer, skądkolwiek pochodzący, odbijał się w rozczulonem sercu Scrooge'a i podwajał strumienie łez, płynących mu z oczu.

?Duch dotknął jego ręki i wskazał mu dziecię, — jego sobowtóra, zajętego czytaniem.

?Nagle jakiś człowiek dziwacznie ubrany, widzialny tak jak ja, albo wy, którzy to czytacie, ukazał się poza oknem. U pasa miał zawieszoną siekierę i prowadził za cugle osła, obładowanego drzewem.

?— Ach, to Ali Basza! — zawołał Scrooge w milczeniu: — mój dobry, mój poczciwy Ali Basza! Poznaję go, poznaję. Raz w Wigilję Bożego Narodzenia, gdy to dziecię siedziało tak jak dziś, samotne i opuszczone, przyszedł je odwiedzić, zabawić, ach jakżeśmy się śmieli, jakeśmy krzyczeli.

?Co za dziwowisko dla poważnych mężów giełdy, gdyby byli spostrzegli Scrooge'a, rozsypującego marnotrawnie cały zasób zapału, energji i uniesień, dla tak błahych wspomnień; gdyby byli słyszeli, jak wpół-płacząc, wpół-śmiejąc się, rozliczne wydawał głosy, — gdyby ujrzeli twarz jego niezwykłym błyszczącą ogniem.

?Zbliżył się do książki, którą czytało dziecię. — Tak! — zawołał — ta sama książka: Robinson Kruzoe. Papuga — widzę ją — zielony korpus, żółty ogon, czub na głowie. „Biedny Robinson Kruzoe" krzyczała, ilekroć wracał do mieszkania, opłynąwszy w łodzi bezludną wyspę.

?— Ty wiesz — rzekł do ducha. — Papuga Robinsona! — owa papuga! Ach, otóż Piątek, biegnie wcwał, aby uniknąć śmierci. Ludożercy! Prędzej — prędzej — odważnie. Ach, tak — dobrze!

?Potem przeskakując z niezwykłą sobie, gorączkową ruchliwością od jednego do drugiego przedmiotu, zdjęty współczuciem dla swego sobowtóra, „Biedne dziecię!" zawołał — i wybuchnął głośnym płaczem.

?— Chciałbym — rzekł po chwili, otarłszy oczy i kładąc rękę do kieszeni, — chciałbym, ale już poniewczasie!

?— Cóż takiego? — zapytał duch.

?— Nic — nic! Przypomniałem sobie dziecię, które wczoraj wieczorem zaśpiewało pod mojemi drzwiami: „Ej kolenda! kolenda!" chciałbym mu coś dać! — Mój Boże!

?Duch uśmiechnął się łzawo, dał mu ręką znak milczenia i rzekł:

?— Otóż inna Wigilja Bożego Narodzenia.

?W jednem okamgnieniu obraz się zmienił. Scrooge ujrzał się podrosłym, sala była brudniejsza i bardziej jeszcze ponura! Futryny okien potrzaskały, na podłodze leżały szczątki opadłego z sufitu wapna, po ścianach tu i ówdzie przebijały pokłady trzciny — upłynęło lat parę. Tak było w istocie. Poznał, że wszystko było jak najdokładniejsze, znalazł się sam — sam jeden — wówczas gdy wszyscy inni pojechali przepędzić wesoło dni świąteczne na łonie rodzinnem.

?Teraz nie czytał, lecz miotany rozpaczą, przechadzał się wzdłuż i wszerz po sali. Scrooge spojrzał na widmo, potem smutnie wstrząsnął głową i zwrócił ku drzwiom wzrok pełen obawy i niepokoju.

?Otwarły się drzwi, — dziewczynka, znacznie młodsza niż student przebiegający po sali, wpadła jak strzała, podskoczyła, zarzuciła mu ręce na szyję, ucałowała go kilkakrotnie, wołając: — Kochany — drogi braciszku!

?— Przybywam po ciebie, zabrać cię do domu, drogi bracie — rzekła, klaszcząc w dłonie i zanosząc się z radości od śmiechu. — Do domu! do domu! do domu!

?— Fanny! najdroższa Fanny! do domu? — powtórzył młodzieniec.

?— Tak, duszo moja — na dobre do domu — naprawdę. Papa jest teraz taki dobry w porównaniu z tem co było, że dom nasz jest małym rajem! Pewnego wieczora, gdym szła spać, jak najczulej ze mną rozmawiał — ośmielona tem, zapytałam go, czy nie mógłbyś przyjechać do nas; odpowiedział, że i owszem, że możesz, i posłał mnie po ciebie. Jesteś już mężczyzną — dodała, patrząc mu w oczy — nigdy tu nie powrócisz. Przedewszystkiem spędzimy razem święta Bożego Narodzenia w najweselszy w świecie sposób!

?— Moja droga — moja kochana opiekunko! — zawołał rozrzewniony chłopiec.

?Ona się śmiała i klaskała w ręce — potem chciała go pocałować w głowę, lecz nie mogła dostać tak wysoko, — znowu się śmiała, podskoczyła na palcach i dokazała swego. Wreszcie pociągnęła go ku drzwiom. Szedł za nią.

?W sieni ozwał się głos surowy, przywykły do rozkazywania:

?— Podawajcie kuferek i rzeczy pana Scrooge — i ukazał się pan profesor we własnej osobie; spojrzał na Scrooge'a wzrokiem przyjacielsko-groźnym i w wielkie wprawił chłopca pomieszanie, uścisnąwszy go za rękę na znak pożegnania. Następnie zaprowadził młodą parę do drugiego pokoju, zimnego jak lodownia, do prawdziwej piwnicy, służącej za salon. Podano butelkę bardzo lekkiego wina i kawałek bardzo ciężkiego ciasta; częstował tem swych gości, poczem szepnął do ucha służącej, tak jednak, że oni słyszeli, aby zaniosła kieliszek wina pocztyljonowi. Ten jednak odpowiedział, że jeżeli to jest toż samo wino, którem go kiedyś w tym domu częstowano, dziękuje serdecznie, ale woli szklankę wody, gdyż mu się zdaje być tęższą. Tymczasem na wierzchu powozu przymocowano sznurami kuferek pana Scrooge; dzieci pożegnały jak najserdeczniej nauczyciela, wskoczyły do powozu, który szparko sunął po skrzypiącej drodze, znacząc swój ślad pasmem podskakującego śniegu, jak morska piana. W powozie całował ręce siostry i tysiączne składał jej dzięki.

?— Była to delikatna i wątła istota, — gięła się pod powiewem silnego wiatru; — lecz wielkie i szlachetne miała serce — rzekł duch.

?— Oh — tak — masz słuszność — anielskie serce. — Ja temu nigdy nie zaprzeczę, Boże mnie uchowaj.

?— Umarła zamężna — dodał duch, — zdaje mi się, że zostawiła dwoje dzieci?

?— Jedno — odpowiedział Scrooge.

?— Prawda, jednego syna — twego siostrzeńca.

?Scrooge się zarumienił, odwrócił oczy, spuścił głowę, i wybąkał: „Tak!"

?Chociaż tylko co opuściliśmy mury szkolne, w jednej chwili, nie wiem sam jakim cudem, Scrooge i duch znaleźli się na ulicy ludnego miasta. Tam i sam przesuwały się postacie ludzkie; cisnęły się i krzyżowały po bruku przyprószonym śniegiem wozy, bryczki, powozy, słychać było szmer, ruch, życie miejskie. W oknach sklepów urządzone wystawy świadczyły o niezwykłej uroczystości, przystąpiwszy

bliżej, poznali, że wszystko przygotowane było na święta Bożego Narodzenia. Stosy strucli, pierników, ciast, gruszek, jabłek, góry ryb, strojne choiny. Pyszne rzeczy. Wieczór się zbliżał — łuna biła ze wszystkich okien, dym, przejęty wonnościami kuchennemi, walił ze wszystkich kominów.

?Widmo zatrzymało się u drzwi jakiegoś sklepu i zapytało Scrooge'a, czy poznaje to miejsce.

?— Jakto, chcesz chyba ze mnie żartować. Wszakże w tym sklepie byłem chłopcem, a potem subjektem! Weszli. Na widok wysokiego jegomościa w peruce, siedzącego jak na koniu na wysokiem krześle śrubowanem, przy wysokim kantorku, Scrooge, niezmiernie wzruszony, zaczął się trząść, oglądać, blednąć i czerwienieć, wreszcie zawołał:

?— Ależ to nasz stary — stary Fezziwig — nasz pryncypał — niech go Bóg błogosławi — ja chyba oszaleję — Fezziwig zmartwychwstał?!

?— Uspokój się — rzekł duch.

?Fezziwig położył pióro, spojrzał na zegar, wyjął z kieszeni zegarek, bardzo mało mniejszy od tego, który wisiał na ścianie — zatarł ręce, poprawił perukę, obciągnął kamizelkę, której koniec podniósł mu się prawie pod szyję, — roześmiał się, — ale jak — nie on się roześmiał, ale wszystko się śmiało, z czego się składał, zacząwszy od butów aż do peruki; — powiadam wam, że kiedy się śmiać, to już całem sercem, całą duszą, całem ciałem — i zawołał głosem potężnym, grzmiącym, pełnym, okrągłym, ale zawsze śmiejącym:

?— Hola — hej — Ebenezer! — Dick!

?Scrooge (ale proszę nie mieszać, proszę uważać, nie ten Scrooge, który był z duchem, tylko tamten drugi, — rozumiecie mnie?), Scrooge tedy, już nie student, lecz dorosły młodzian, wpadł do pokoju z drugim młodzieńcem.

?— To Dick Wilkins — zawołał, trącając ducha w ramię. — Z pewnością, Dick Wilkins. — Razem ze mną był tu subjektem. — Dalibóg, poznałem go na pierwszy rzut oka. Dick! poczciwy Dick — bardzo był do mnie przywiązany — przyjaźniliśmy się serdecznie.

?— No, dalej, moje dzieci — zawołał Fezziwig. — Dość na dziś roboty. Wigilja Bożego Narodzenia! Wielkie święto. Boże Narodzenie! Ebenezerze, — Boże Narodzenie — Dick! Prędko — wynosić okiennice, zamykać sklep — wołał pryncypał, zacierając ręce. — Cóż to, jeszcze tu stoicie jak słupy! Jeszczeście nie zamknęli? — Marsz!

?Nie uwierzycie nigdy, z jakim pośpiechem sunęli. Wypadli jak szaleńcy na ulicę z ogromnemi okiennicami — raz — dwa — trzy — już wstawione; — cztery — pięć — sześć, zasuwy i kłódki założone, — siedm — ośm — dziewięć, wszystko zamknięte. Nimbyście doliczyli do dwunastu, oni już byli zpowrotem, zmachani jak konie wyścigowe.

?— A teraz, moje chłopaki — rzekł Fezziwig, — uprzątnijmy wszystko, — poustawiajmy w kąty niepotrzebne rzeczy, żebyśmy mieli jak najwięcej miejsca. No! galop! Dobrze tak, — ach ty niezgrabjaszu — tę skrzynię pod biurko — Ebenezerze, co ty robisz — tę pakę jednę na drugą — no — zrozumiałeś wreszcie.

?Uprzątnąć — oni byliby cały dom roztrzęśli i przenieśli w mgnieniu oka w inne miejsce. W minutę wszystko było skończone. Wszystko, co tylko można było dźwignąć z miejsca, popakowali gdzieś w kąty, jak gdyby już nigdy oko ludzkie dojrzeć tego nie miało. Podłogę skropiono i wymieciono — lampy poprawiono — na komin wsypali furę węgla i w jednej chwili sklep zmienił się w salę balową,

wygodną, obszerną, suchą, jaśniejącą; — powiem tylko, że jak na salę balową, cokolwiek zanadto była ogrzana. Ale to nic nie szkodzi.

?Zaczęły się niespodzianki. Przyszedł tedy, niby to sam z siebie, skrzypek z ogromną księgą nut pod pachą. Zasiadł na wysokiem krześle pryncypała i zaczął stroić skrzypce, i kręcić, i piszczeć i próbować, że aż w mózgu trzeszczało. Potem weszła pani Fezziwig. Uśmiech w czepku i w spódnicy; — za nią trzy panny Fezziwig, białe, pulchne, skromne, jaśniejące wesołością i uprzejmością.

?Za niemi wsunęło się sześciu kawalerów, — wystrojeni, wypomadowani, chłopcy jak świece (prawdę mówiąc, znajdowało się pomiędzy nimi dwóch czeladników mydlarskich), potem wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczęta z całego domu, przyjaciele, znajomi; — młody chłopczyna z sąsiedniego sklepu, sierota, o którego pryncypale poszeptywano, że swoich uczniów głodem morzy. Co za zgroza! I tak wchodzili jedni za drugimi; ci śmiało, — tamci bojaźliwie, — ci z szelestem — tamci na palcach, — ci zgrabnie — tamci niezręcznie — popychając się, kryjąc za sobą, jak to bywa wszędzie i zawsze. Dość że weszli i pomieścili się wszyscy. Potem nastąpiły dygi, ukłony, zaproszenia do tańca, i inne bardzo ważne ceremonje. Wreszcie stanęli w parach — może ze dwadzieścia par, albo ż ja ich mogę zliczyć, kiedy się kręcą na wszystkie strony; — może i więcej. Dalejże w tany! Hasali nazabój — gospodarstwo nie usiedli na chwilę — chodzili od jednych do drugich, kłaniali się, głaskali, całowali gości, dzieci, stary Fezziwig wyciągał z kątów nieśmiałych, wołając: — Naprzód, bardzo dobrze — proszę jak we własnym domu — sługa państwa dobrodziejstwa! Wiwat Boże Narodzenie!!

?Po pewnym czasie skrzypek odłożył instrument i wpuścił głowę w ogromny dzban przygotowanego wyłącznie dla niego piwa. Gdy się ukazał, zaczął na nowo, gardząc spoczynkiem; jak gdyby dawnego skrzypka, wycieńczonego, znużonego, odprowadzono do domu, a natomiast zasiadł jakiś inny, świeży, gotów grać do upadłego.

?Tańczono więc znowu — bawiono się w gry, potem znowu tańce; — pauza — wielka pauza! Podano ciasta, ogromne sztuki pieczeni, wyborne salcesony, pasztety z siekanki, zdroje piwa. Mówię wam, że wszystkiego było dosyć, do zbytku. Jak przystało na uczciwy dom obywatelski. Lecz gdy skrzypek urznął drabanta, dopieroż to uroczysta nadeszła chwila. Stary Fezziwig podał rękę małżonce i stanęli na czele. To mi panie robota! prowadzić dwadzieścia kilka par młodych, niespokojnych, burzliwych; ludzi, którzy chcą tańczyć, a nie wlec się noga za nogą.

?Lecz, chociażby ich było dwa, a nawet trzy, cztery razy więcej, państwo Fezziwig daliby sobie radę. Fezziwig podskakiwał, komenderował, kręcił się, dziwne wyrabiał rzeczy, tak że niejednego zawstydził młodzieńca.

?Uderzenie godziny jedenastej położyło koniec temu gospodarskiemu balikowi. Pan i pani Fezziwig stanęli u drzwi salonu, przyjaźnie ściskając za rękę każdego gościa pojedynczo, on mężczyzn, ona damy, w miarę jak się kto oddalał, i życząc wszystkim wesołych świąt. Gdy pozostali sami w kole domowników, powtórzyli im życzenia, rozdali kolendy, pożegnali serdecznie. Ucichły radosne głosy, a subjekci udali się na spoczynek do łóżek, tymczasowo za kantorem sklepu urządzonych.

?Przez cały ten czas Scrooge kręcił się, jak gdyby postradał zmysły. Duszą i sercem brał udział w zabawie, do której jego sobowtór należał tak czynnie. Poznawał wszystko, przypominał sobie wszystko, wszystkiem się cieszył i najrozkoszniejszych doznawał wrażeń. Dopiero gdy znikły jaśniejące radością oblicza subjektów, przypomniał sobie o obecności ducha, spostrzegł, że tamten wpatrywał się weń badawczo, a promień światła tryskający nad głową widma, coraz żywszą rzucał jasność.

?— Jakże mało potrzeba — rzekł duch, — aby w tych głupich ludziskach najżywszą obudzić wdzięczność.....

?— Mało? — powtórzył Scrooge.

?Duch skinął, aby zamilkł, i kazał mu się przysłuchać rozmowie subjektów, obsypujących pochwałami i uwielbieniem swego pryncypała.

?— Wielka rzecz, i cóż takiego zrobił — rzekł duch po chwili. — Wydał kilkadziesiąt złotych z waszych śmiertelnych pieniędzy, — może i mniej. Czyż warto go tak wynosić, tak wielbić, tak wychwalać?

?— Duchu! co też ty mówisz — zawołał Scrooge z uniesieniem, zapomniawszy, że jest sobą, lecz przedzierzgnąwszy się niejako w swego sobowtóra. Nie o to, wcale nie o to chodzi. Fezziwig mocen jest w swym zakresie uczynić nas szczęśliwymi; ulżyć i osłodzić nasze obowiązki, lub je pogorszyć i utrudnić, wyrządzić nam przyjemność, lub przykrość. Czy ta jego władza leży w czynach, czy w słowach, czy w spojrzeniach, czy też w rzeczach tak nieznaczących, tak małych, że zważyć ani ocenić się nie dadzą, wszystko to jedno.

?Szczęście i radość, jakie nam sprawia jednym wyrazem, jednem spojrzeniem, jedną małą przyjemnością, jak naprzykład wieczór dzisiejszy, jest tak wielkie, tak ważne, jak gdyby niezmierne kosztowało sumy.

?Tak rozumując, Scrooge podniósł głowę i ujrzał przenikliwy wzrok widma, zwrócony na siebie; zatrzymał się.

?— Cóż ci jest? — zapytało widmo.

?— Nic nadzwyczajnego — rzekł Scrooge.

?— Jednakże wydajesz mi się pomieszany, niespokojny, no, powiedz śmiało!

?— Nic — nic, oto! widzisz — rzekł Scrooge, — pragnąłbym z całej duszy powiedzieć parę słów memu buchalterowi. To i wszystko.

?Sobowtór zgasił ostatnią świecącą w sklepie lampkę, a Scrooge i duch znaleźli się nagle na świeżem i chłodnem powietrzu.

?— Czas upływa, — moja godzina się zbliża — rzekł duch. — Dalej!

?Wyrazy te nie były zwrócone ani do Scrooge'a, ani do kogoś, kogoby mógł widzieć, wszelako miały skutek niechybny; Scrooge ujrzał znowu siebie. Był nieco starszym, w sile wieku. Twarz nie miała jeszcze ostrych i surowych rysów dojrzałości, wszelako na licu przebijały się cechy niepokoju i chciwości. Wzrok posiadał ruchliwość gorączkową, trwożliwą, znamionującą walkę złych i dobrych skłonności; złe brało górę, można było przepowiedzieć, w którą stronę padnie cień wzrastającej drzewiny.

?Przy nim stała młoda dziewica w żałobie. Przy świetle bijącem z głowy ducha widać było łzy, błyszczące w pięknych jej oczach.

?— Kto inny — mówiła — zajął moje miejsce w twem sercu.

?— Któż taki? — zapytał zniecierpliwiony.

?— Cielec złoty.

?— Otóż to jest sprawiedliwość ludzka. — Świat naigrawa się i brzydzi ubóstwem, a jak tylko ktoś rozsądny i przewidujący ubiega się o majątek, zaraz go obrzucają wyrzutami, zaraz mu zazdroszczą i z niesłychaną sądzą surowością.

?— Widziałam, jak pod wpływem obawy ubóstwa niknęły najszlachetniejsze twe uczucia, najzacniejsze popędy. — Chciwość — łakomstwo, żądza złota wszystko pochłonęły. Czyż temu zaprzeczysz?

?— No i cóż z tego. Stałem się rozsądniejszy — nic więcej. Względem ciebie w niczem się nie zmieniłem.

?Wstrząsnęła głową na znak zwątpienia. — Bogdaj nowoobrana przez ciebie droga przyniosła ci szczęście i spokój. Nie mamy względem siebie żadnych obowiązków. Zwalniam cię z danego przyrzeczenia.

?Usiłował się tłumaczyć, lecz szło mu tak niegładko — tak się wikłał i plątał, iż widać było całą radość, jakiej doznawał z powodu tego zerwania.

?Odeszła.

?— Duchu! — jęknął Scrooge — nie pokazuj mi nic więcej. Odprowadź mnie do domu. Przestań pastwić się nade mną.

?— Jeszcze jedno tylko widzenie — odpowiedział duch.

?— Nie — nie — nic więcej — nie chcę już nic widzieć. Nic mi już nie pokazuj.

?Lecz nieubłagane widmo ścisnęło go rękoma i zmusiło do wpatrywania się w dalsze przemiany.

?Nagle przeniesieni w inne miejsce, uderzeni zostali widokiem innej sceny. Był pokój ani zbyt wielki, mi zbyt ciasny, przyjemny, miły, wygodny. Przy dobrym ogniu, palącym się na kominku, siedziała młoda dziewica, tak podobna do tej, którą widział przed chwilą, że wziął ją za poprzednią, lecz wpatrzywszy się, poznał, że tamta, dziś już matka rodziny, siedziała naprzeciw córki. W pokoju był szmer głuszący, odurzający. Tak było pełno dzieci, że Scrooge, w gwałtownem wzburzeniu umysłu, nie był w stanie ich zliczyć, — zdawało mu się, że jest ze czterdzieścioro; a ja wam ręczę, że każde dziecko z osobna hałasowało za czterdzieści. Skutkiem tego stanu rzeczy była wrzawa nieopisana; nikomu jednak nie dokuczała. Przeciwnie, matka i córka śmiały się z całego serca i bawiły się wybornie. Córka, ulegając powszechnej wesołości, wmieszała się w krzykliwe grono. Dopieroż się z nią obeszli, te swawolne łotry. Targali, ciągnęli, szarpali — jak rabusie — ona się śmiała, chichotała, opędzała, a matka klaskała w ręce.

?Wtem usłyszano pukanie do drzwi; — natychmiast hałas się podwoił — cała gromada uniosła ją ku drzwiom, ona ze śmiechu nie mogła się bronić i stanęła naprzeciw ojca, obładowanego cackami i kolendami. Wystawcie sobie krzyki, bitwy, napaści na bezbronnego przychodnia. Jeden malec porywa krzesło, i włazi mu na kark, jak po drabinie, inny przetrząsa kieszenie i wyciąga paczki poowijane w bibułę, — tamten ściąga mu krawat i wiesza na szyję, racząc uściskami, szturchańcami, popychaniami od stóp do głowy. A co za radość, co za krzyk, co za zdumienie przy otwarciu każdej paczki. Jakie niemiłe wrażenie, gdy jednego malca schwytano, jak w zapale pakował do ust patelnię z blaszanego gospodarstwa; naturalnie, że na niego padły wszystkie przypuszczenia, iż połknął indyka z cukru razem z drewnianym półmiskiem. Wreszcie godzina spoczynku nadeszła, dzieci zwolna jedno po drugiem wychodzą z salonu i, zaprowadzone do sypialni, usypiają z zabawkami w ręce, z projektami zabaw na jutro! Spokój wrócił.

?— Marjo — rzekł mąż, zwracając się z uśmiechem do żony, — widziałem dziś jednego z twoich dawnych znajomych.

?— Kogoż takiego?

?— Zgadnij!

?— Jakże chcesz, abym zgadła? No... czy czasem nie pana Scrooge — odpowiedziała, śmiejąc się.

?— Tak jest — jego. Przechodziłem koło okien kantoru, a ponieważ okiennice nie były zamknięte i paliła się lampa, mimowolnie spojrzałem. Mówiono mi, że wspólnik jego Marley już dogorywa. Scrooge siedział, jak zwykle, samotny. — Sam jeden na świecie!!

?— Duchu! duchu! odprowadź mnie stąd!..... — wołał Scrooge, załamując ręce.

?— Zapowiedziałem ci — odpowiedziało widmo — że ci ukażę cienie przeszłości... nie miej do mnie żalu, jeżeli są takie, a nie inne.

?— Odprowadź mnie — wołał Scrooge, — nie zniosę więcej podobnych widoków.

?Zwrócił się do ducha, a spostrzegłszy, że dziwnem jakiemś zrządzeniem w twarzy jego odbijały się pomieszane rysy wszystkich osób, jakie mu dotąd ukazywał, rzucił się na niego.

?— Daj mi pokój — puść mnie — odprowadź mnie — przestań mnie dręczyć — wołał rozpaczliwie i szarpał ducha za ręce.

?W tej walce, jeżeli to walką nazwać można, ponieważ duch, nie czyniący napozór najmniejszego oporu, nie dał się zachwiać żadnem wysileniem przeciwnika, Scrooge spostrzegł, że światło, tryskające z głowy widma, coraz gwałtowniej połyskiwało. Schwycił więc za gasielnik i jednym rzutem wtłoczył mu go na głowę.

?Duch upadał, a raczej niknął pod tym dziwacznym kapeluszem, tak że prawie go widać nie było, lecz chociaż Scrooge przyciskał ze wszystkich sił, nie mógł jednak zdusić światła, wydobywającego się z pod spodu i oświecającego całą podłogę.

?Uczuł się wycieńczonym, zmordowanym, ogarnęła go niepohamowana senność. — Wkrótce znalazł się w swym pokoju sypialnym. Wtedy raz jeszcze chciał przycisnąć gasielnik, zamierzył się zgóry, uderzył ręką i padł na łóżko, pogrążony w śnie głębokim.

III

Drugi z trzech Duchów

?Przebudziwszy się z najgłębszego snu i siadłszy na łóżku w celu zebrania myśli, Scrooge nie potrzebował sobie długo przypominać, że zegar zapewnie wkrótce uderzy pierwszą. Czuł doskonale, że przyszedł do przytomności właśnie w chwili najwłaściwszej do zabrania znajomości z drugim wysłańcem Jakóba Marley. Lecz nieprzyjemnych doznając dreszczów z niepewności, którą też firankę pociągnie widmo, zebrał odwagę i, odsłoniwszy obie własnemi rękoma, padł na poduszkę, powiódł wzrokiem na wszystkie strony, chciał bowiem odważnie przyjąć ducha w chwili ukazania się i nie dać się pokonać zdziwieniu, ani też ulec zbyt silnemu wzruszeniu.

?Lecz chociaż na wszystko był gotów, nie był właśnie przygotowany na to, żeby nic nie było; dlatego też, gdy zegar wybił pierwszą, a żaden duch się nie zjawił, porwał go dreszcz gwałtowny i zaczął się trząść jak we febrze. — Na cóż się zdała odwaga, na co śmiałkostwo — w cóż się obróciły wszystkie przygotowania. — Tak to zawsze bywa na świecie. Pięć minut — dziesięć minut — kwadrans — nic. Przez cały ten czas leżał sztywny na łóżku, gdzie zbiegały się, jak do punktu środkowego, rozstrzelone promyki czerwonawego światła, które go mocno oświeciło, gdy zegar

cyknął na uderzenie godziny. Światło to więcej go niepokoiło, niż ukazanie się dwunastu naraz duchów — nie pojmował jego znaczenia, nie odgadywał powodu, lękał się, czy czasem się nie pali i nie zwęgla własnym ogniem. Wkońcu padł na myśl (my bylibyśmy odrazu padli na tę myśl, ale to zawsze tak bywa, że ten, kto nie jest w kłopocie, wie, jakby sobie w takim, lub w innym niebezpiecznym razie postąpić wypadało. — Już to radzić wszyscy umiemy wybornie, szczególniej wtenczas, kiedy nie idzie o naszą skórę). Otóż wracając do rzeczy — wpadł na myśl, że ognisko tego tajemniczego światła musi się znajdować w sąsiednim pokoju, ponieważ patrząc na błyszczące smugi, widział, że się stamtąd wydobywają. Ta myśl tak nim owładnęła, że się podniósł z łóżka, wsunął pantofle i cichuteńko zmierzał do tamtego pokoju. W chwili gdy brał już za klamkę, dziwny jakiś głos zawołał go po imieniu i kazał mu wejść. — Usłuchał.

?Był w swoim własnym saloniku; — niema najmniejszej wątpliwości — w swoim własnym, lecz salon ten nadzwyczajnemu uległ przekształceniu. Ściany i sufit przystrojone były bogato w wieńce z zielonych liści, jak gdyby to był najpiękniejszy gaik. Na kominie palił się wspaniały ogień, ale to taki ogień, że komin strzeszczał z podziwienia; za czasów bowiem Marley'a i Scrooge'a nie przywykł do podobnych zbytków. Na podłodze wznosiły się, tworząc rodzaj tronu, góry indyków, gęsi, wszelkiego rodzaju zwierzyny, tuczonego drobiu, wędlin, prosiąt, szynek, sążniste kiełbasy, salcesony, pasztety, plumpuddyngi, ryby — ale jakie — aż ślinka idzie do ust — nieprawda? pieczone kasztany, złociste jabłka, soczyste gruszki, ogromne torty migdałowe i wazy ponczu, przyćmiewające wonnym swym dymem jasność panującą w pokoju.

?Olbrzym, o wesołej i ujmującej powierzchowności, spoczywał na tym dziwnym tronie; trzymał w ręku zapaloną pochodnię, zbliżoną kształtem do rogu obfitości, wzniósł ją nad głowę, aby oświecić oblicze zaglądającego przez szparę Scrooge'a.

?— Wejdź — zawołało widmo — wejdź! Nie lękaj się, mój przyjacielu, bliższej ze mną znajomości.

?Scrooge wszedł z obawą, na palcach, i skłonił się głęboko. Nie był to już ten dawny Scrooge, opryskliwy, gburowaty; poprzednie dwie wizyty wielce go zmieniły, a chociaż oczy widma były łagodne i dobrotliwe, Scrooge spuszczał swoje z pokorą.

?— Jestem duch teraźniejszego Bożego Narodzenia. Przypatrz mi się.

?Scrooge podniósł i wlepił weń wzrok. Ten znowu duch miał obszerny ciemno-zielony płaszcz, oszyty dokoła białem futerkiem. Okrycie to, niedbale zarzucone na ramiona, dawało widzieć pierś męską, szeroką, nagą, odsłoniętą na zmiany powietrza. Nogi miał również nagie, skronie otaczał mu wieniec ze świeżej choiny, poprzetykanej gdzie niegdzie sopelkami błyszczącego lodu. Długie i gęste włosy, w bogatych pierścieniach spadały mu na ramiona; twarz szczera, oko jasne, wyraziste, błyszczące zadowoleniem. Cała postawa ducha oddychała spokojem i wesołością. U pasa wisiał starożytny miecz, nawpół od rdzy zjedzony — snać nigdy go nie używał.

?— Nie widziałeś nigdy nikogo podobnego do mnie? — zawołał duch.

?— Nigdy w życiu!

?— Czyś nigdy nie podróżował z którymkolwiek z mych starszych braci?

?— Nie przypominam sobie. — Zdaje mi się, że nie. — A wielu też masz braci, duchu?

?— Mnóstwo — przeszło tysiąc ośmset sześćdziesięciu — odpowiedziało widmo.

?— Ach! jakże liczna rodzina — co za wydatki na jej utrzymanie.

?Widmo powstało.

?— Duchu — rzekł Scrooge z uległością. — Prowadź mnie, gdzie chcesz. Przeszłej nocy zmuszono mnie gwałtem do małej wycieczki. Nie żałuję tego. Nauczka nie poszła w las. Jeśli masz mnie oświecić, poprawić — jestem na twoje rozkazy, chcę korzystać z twej łaski.

?— Dotknij mej sukni.

?Scrooge uczepił się płaszcza. Światło, choiny, indyki, gęsi, zwierzyna, salcesony, szynki, prosięta, ostrygi, pasztety, plumpuddyngi, owoce, poncz — wszystko zniknęło w okamgnieniu. Pokój, blask, noc zniknęły. — Znaleźli się na ulicach miasta, w poranek wigilji Bożego Narodzenia — uderzył ich skrzyp łopatek, któremi stróże zeskrobywali zmarznięty śnieg z chodników i z rynien.

?Fronty domów i okna wyglądały ponuro, ciemno; odbijając od białej, jednostajnej, śnieżystej powłoki, okrywającej dachy — i mniej białej opony, rozciągniętej na ziemi, ponieważ porysowana i popękana była w bróżdy kołami ciężkich wozów i powozów. Bróżdy te, czyli koleje, krzyżowały się w tysiące zygzaków, mianowicie na skrętach ulic; po bokach były poobmarzane. Niebo było ponure. Londyn niebardzo był przyjemny; ciężkie powietrze, przejęte węglem, spadało na ziemię w postaci gołoledzi i utrudniało oddychanie. Wszelako na wszystkich obliczach błyszczała taka radość, wesołość, ruchliwość, że wątpię, czy najpiękniejszy dzień letni mógłby się równać z tym zimnym porankiem.

?Ludzie zamiatający dachy i ulice byli w cudownym humorze, wołali na siebie po imieniu, dając przytem różne dowcipne przezwiska, rzucali jeden na drugiego wielkie piguły ze śniegu, i dalej w śmiech, gdy niewinny pocisk, celną rzucony ręką, rozbił się na plecach ofiary, lub też omylił drogę i spadł na głowę poważnie kroczącego policjanta.

?Sklepy nawpół dopiero były otwarte. Tu widać było ogromne kosze kasztanów, soczystych gruszek, jabłek, cytryn, pomarańcz, stosy winogron, pomieszany zapach wybornej kawy, herbaty, śliwek; — naprzeciwko, u cukiernika, ciasta, cukry, paszteciki, dalej fury zabawek, koni, arsenały nieszkodliwych mieczów, pałaszów, fuzyj — nawet armat — i wdzięcznie przybrane choiny, sięgające wierzchołkiem zakończonym orzechem złoconym okien pierwszego piętra. Osobliwości! Dziwowiska!

?Wkrótce dał się słyszeć głos dzwonów, zwołujących pobożnych na modlitwę. Ze wszystkich domów wysypały się tłumy ludzi w świątecznych strojach; — inni znowu, nie mający w domu dość obszernych kuchen, biegli z koszami do piekarzy, niosąc w nich ciasta, potrawy, pieczenie, do wsadzenia w ogniska. Duch mocno się nimi zajmował, biegał od kosza do kosza, stanął na rogu przy wejściu do piekarni, podnosił okrywające płótna i zasłony, nad każdym koszykiem wstrząsał swą pochodnią jak kropidłem i zaraz wydobywały się z pod przykrycia wonne, urocze zapachy. Dziwna to też była pochodnia — dwóch ludzi idących z ciężarami potrąciło się i zaczęli sobie mówić obelgi, duch poskoczył w tę stronę, poruszył nad ich głowami pochodnią i zdumiony Scrooge ujrzał, jak obaj w jednej chwili postawili ciężary, podali sobie przyjazne dłonie, mówiąc: „Czyż to nie wstyd kłócić się w wigilję Bożego Narodzenia. Mój Boże! — w tak wielkie — uroczyste święto.“

?Zwolna ucichły dzwony, sklepy pozamykano, tylko z kominów buchała woń dosmażających się i dopiekających potraw.

?— Powiedz mi, dobry duchu — zapytał Scrooge, — czy krople spadające z twej pochodni mają jaką szczególną, nadzwyczajną zaletę?

?— Tak jest, mają pewną własność: moje błogosławieństwo!

?— I własności tej wszystkim możesz udzielać?

?— Wszystkim, a mianowicie ubogim, bo ci jej najwięcej potrzebują.

?Tak rozmawiając, przenieśli się, zawsze niewidzialni, na przedmieście Londynu.

?Druga uderzająca Scrooge'a właściwość, cecha, jaką zauważył w duchu, była to możność mieszczenia się w najmniejszym kąciku. Wszędzie mu było dobrze, wszędzie dogodnie, pomimo wyniosłej i olbrzymiej postawy; — wszędzie, czy to pod ubogą strzechą, czy pod sklepieniami pałaców, zachowywał jednakową godność i nadnaturalną wspaniałość.

?Dziwnym zbiegiem okoliczności, czy przypadkiem, czy też naumyślnie, może idąc za popędem wrodzonej ku biednym przychylności, duch zaprowadził Scrooge'a wprost do mieszkania jego buchaltera. Na progu duch zatrzymał się, uśmiechnął, skropił pochodnią drzwi i pobłogosławił mieszkańców i mieszkanie Boba Cratchit. Tak zwał się buchalter.

?Wsunęli się niewidzialni. Małżonka buchaltera, pani Cratchit, ubrana w nicowaną, wytartą suknię, przystrojona w wypłowiałe wstęgi, nakrywała właśnie do stołu przy pomocy panny Belindy Cratchit, młodszej swej córki, podobnie jak matka wystrojonej — tymczasem syn najstarszy, pan Piotr Cratchit, zapuszczał w garnek z kartoflami widelec, chcąc się przekonać, czy są już należycie dogotowane, i poprawiał z powagą wysokie rogi skrochmalonego kołnierzyka od koszuli, której mu papa na dzisiejszą uroczystość pożyczył. Dwoje innych Cratchitów, chłopczyk i dziewczynka, wpadli hałaśliwie do pokoju, krzycząc, iż przechodzili właśnie koło piekarni i poznali po zapachu wydobywającym się stamtąd gęś, którą mama zaniosła tam do upieczenia. Upojeni radością na myśl o wybornych jabłkach i sosie z cebuli, zaczęli skakać około stołu, wynosząc pod niebiosa kucharskie talenty pana Piotra, który z wydętą jak balon twarzą, schylony nad ogniskiem, dmuchał, poprawiał ogień, dopóki głos piszczący, syczący i bełkoczący w garnku nie oznajmił, że kartofle ugotowane są wybornie i że już czas je odstawić.

?— Co to znaczy, że się tak wszyscy dziś spóźniają — rzekła pani Cratchit, — i ojciec z Tomaszkiem i Marta. — Przeszłej wilji była już w domu od pół godziny.

?— Jest Marta! mateczko — zawołała młoda panienka, wchodząc w tej chwili do pokoju.

?— Jest Marta! — powtórzyli chórem malcy. — Wiwat! żebyś wiedziała, co za wspaniała gęś. — Wiwat Boże Narodzenie!

?— Niech cię Bóg błogosławi, kochane dziecię. Dla czegoż tak późno przychodzisz? — rzekła pani Cratchit, obsypując ją pocałunkami i zdejmując z niej chustkę i kapelusz z macierzyńską troskliwością.

?— Dużośmy miały roboty do wykończenia na dziś wieczór, mateczko, trzeba ją było nagwałt oddać — każdy chce mieć nowe suknie na święta.

?— Dobrze — dobrze — nic nie szkodzi. — Dalej, siadaj przy ogniu, rozgrzej się, kochane dziecię.

?— Nie, nie! Papa idzie — wykrzyknęli znowu malcy, którzy wszędzie byli i wszystko widzieli. — Schowaj się, Marto — słyszysz — schowaj się!

?Marta się schowała — wszedł Bob[2] Cratchit (znacie go — buchalter, o którym wam na początku mówiłem) w ogromnym szaliku wełnianym na szyi, — gdzie tam na szyi, — na brzuchu, wisiał aż do kolan; suknie zużyte i wytarte do nitki starannie miał wyczyszczone z powodu uroczystego święta; na ręku niósł Tomaszka. Niestety, biedny Tomaszek — kulał chłopczyna! i opierać się musiał na kuli.

?— A gdzież Marta? — gdzie Marta? — zapytał Bob, oglądając się niespokojnie na wszystkie strony.

?— Jeszcze jej niema — odpowiedziała pani Cratchit.

?— Jakto — jeszcze nie przyszła? — zawołał, utraciwszy nagle wesołość — niema jej — nie przyszła w wigilję Bożego Narodzenia.

?Marta nie mogła przenieść na sobie, aby go dręczyć dłużej, nawet żartem, wybiegła z kryjówki i rzuciła mu się na szyję, — gdy tymczasem mali Cratchitowie porwali Tomaszka i zanieśli go do kuchni, aby mógł z bliska usłyszeć śpiew plumpuddyngu, wydobywający się z rondla.

?— Jakże się sprawiał Tomaszek? — zapytała pani Cratchit.

?— Jak cacko — prześlicznie! Zmuszony swem kalectwem do pozostawania często w samotności, stał się bardzo — bardzo rozważnym. Nie wystawisz sobie, jakie mu myśli przychodzą do główki. Wracając z kościoła, rzekł mi, że na niego ludzie patrzyli z wielkiem współczuciem, i że zapewne myśleli sobie w dniu dzisiejszym o cudach i łaskach Tego, który przywracał słuch głuchym, wzrok ciemnym, ruch ułomnym i kalekom.

?Gdy Bob mówił to, jego głos drżał — więcej jeszcze drżał, gdy Bob dodał, że mu się zdaje, iż dziecko, dzięki Bogu, codzień staje się silniejszem i zdrowszem.

?Wtem dało się słyszeć tupotanie kuli, wszedł chłopczyk w towarzystwie brata i siostry, i zasiadł na wysokiem krzesełku przy ogniu. Bob zakasał przez oszczędność rękawy, jak gdyby mogły się jeszcze bardziej zniszczyć — wziął imbiru, cytryn, wcisnął je w wazę gorącej wody, zmieszał doskonale i przyrządził dziwny jakiś napój — mówił biedak, że to grog — niech i tak będzie — gdy tymczasem mała dwójka pobiegła do piekarza po gęś i wniosła ją w triumfie.

?Gdybyście słyszeli zgiełk wywołany jej widokiem, sądzilibyście, że gęś jest w Anglji najosobliwszem zjawiskiem, wobec którego czarny łabędź, biały kruk są pospolitościami. Rzeczywiście w tym biednym domu gęś była jednym z siedmiu cudów świata. Pani Cratchit odgrzała sos przygotowany oddawna w małej ryneczce, — pan Piotr z herkulesowym rozmachem starł na miazgę kartofle, — panna Belinda wsypała do wazy mączki cukrowej, Marta wycierała talerze, Bob przysunął do siebie Tomaszka, a dwoje małych przystawili krzesła wszystkim, nie zapomniawszy o sobie i zająwszy stanowiska, powtykali sobie w gębę puste łyżki, aby nie ulec pokusie i w dzień tak uroczysty nie naruszyć porządku lizaniem sosu. Wreszcie podano potrawy — zmówiono pocichu modlitwę, pani Cratchit obejrzała starannie długi nóż, spróbowała go na paznogciu i zapuściła we wnętrzności gęsi, z których przy ogólnym okrzyku „wiwat!“ wybuchła fontanna jabłek i sosu.

?Nigdy nie widziano podobnej gęsi. — Bob dawał słowo, że nie przypomina sobie nic podobnego. — Co też mówili u piekarza, jak ją zobaczyli? Jej kruchość, zapach, taniość i inne zalety były przedmiotem powszechnej rozmowy i uwielbień; z kartoflami i sosem wystarczyć mogła dla dwóch rodzin. — To prawda — rzekła pani Cratchit, spostrzegłszy u kogoś na talerzu kawałek nieogryzionej kosteczki — rzeczywiście — nie można było zjeść całej. — Panna Belinda odmieniła talerze, a pani Cratchit oddaliła się na chwilę, nie chcąc mieć świadków przy wzruszeniu, jakie ją czekało, gdy otworzy rondel z budyniem. Przypuśćcie, że się nie uda! że się rozleci przy wyjmowaniu z rondla; przypuśćcie, że się złodziej zakradł kominem i porwał go — przypadki po ludziach chodzą. Na tym świecie wszystkiego spodziewać się można. — To okropne — włosy na głowie powstają! Nic nic — — to żarty, uspokójcie się.

?Wydobyto budyń z rondla. — Ach, jakaż gęsta para, co za woń rozparzonego płótna (budyń owinięty był w serwetę). Co za mieszanina łechcących podniebienie zapachów, przypominających jednocześnie traktjernika, pasztetnika i mieszkającą w sąsiedztwie praczkę. To, panie, budyń! Pani Cratchit wróciła do pokoju z twarzą rozpromienioną, skromnie spuszczając oczy; niosła budyń,

podobny do kuli armatniej, twardy, jędrny, pływający w jeziorze ognistej okowity; na wierzchołku tego ognia zieleniła się gałązka choiny, wszczepiona na pamiątkę Bożego Narodzenia.

?Cudowny budyń. Bob Cratchit oświadczył tonem poważnym i uroczystym, że od czasu małżeństwa podobne arcydzieło nie wyszło z rąk jego połowicy.

?Wreszcie ukończono wieczerzę, zdjęto obrus i podsycono ogień na kominku. Grog, przygotowany przez Boba, był wyborny. Na stole zastawiono jabłka, dwie pomarańcze, a w popiół wrzucono garść kasztanów. Cała rodzina obsiadła komin w półkole, obok Boba postawiono wszystkie kryształy familijne, mianowicie dwie rznięte szklanki i wyszczerbiony kubek od wód mineralnych. Cóż to szkodzi? Nalany w nie grog smakował tak, jak gdyby były złote lub srebrne; kasztany trzeszczały w ogniu. Bob powstał, wzniósł napełniony kubek i zawołał: „Wesołych świąt, moje dzieci. Daj nam Boże zdrowo i szczęśliwie doczekać przyszłej Wilji."

?— Daj Boże! — odpowiedzieli chórem.

?— Daj Boże nam wszystkim! — dodał Tomaszek. Siedział przy ojcu, na swem krzesełku. Bob trzymał go ciągle za małą, wychudłą rączkę, chcąc mu dać tym sposobem dowód szczególnego współczucia. Gdy się mały odezwał, ojcu stanęły łzy w oczach, przycisnął go do siebie i obejrzał się wokoło z lękiem, gotów bronić i zasłaniać go przed niewidzialnym napastnikiem, gdyby ten chciał mu porwać dziecinę.

?— Duchu! — rzekł Scrooge z drżeniem i zajęciem, jakiego nigdy nie doznawał, — powiedz mi, czy Tomaszek żyć będzie?

?— Widzę opuszczone miejsce przy kominku — rzekł duch, — widzę w przyszłości, jak Bob ściska i okrywa pocałunkami kulę, a nie widzę jej właściciela. Jeśli mój następca nie zmieni nic w obrazach, które mi się ukazują, dziecię umrze.

?— Nie — nie! — ja proszę! — mówił Scrooge. — Ja błagam, ocal go.

?— I cóż stąd jeżeli umrze, cóż stąd za szkoda, zmniejszy przez to zbyteczną ludność, oszczędzi przeludnienia?

?Scrooge opuścił głowę, usłyszawszy własne wyrazy, które był niegdyś wyrzekł w dzień Wigilji Bożego Narodzenia do dwóch nieznajomych, zbierających składkę; przejął go wstyd, boleść i szczery żal.

?— Człowieku! — zawołał duch z mocą — człowieku! jeśli masz serce a nie kamień w piersiach, zaniechaj tak ohydnej mowy, porzuć te zdania hańbiące człowieczeństwo, bluźniące przeciw Bogu. Ty więc chcesz wyrzec, ty chcesz wyrokować, kto ma żyć a kto umierać. Może w oczach Boga niegodniejszym jesteś życia, jak istota stokroć słabsza i nędzniejsza jeszcze niż ta biedna dziecina. Wielki Boże! co za zgroza, aby nędzny robak poważał się głosić, iż za wiele jest na świecie zgłodniałych robaków, a jego braci.

?Scrooge upokorzył się, zalał się łzami, słysząc te słowa ducha — drżał jak liść, nie ze strachu, lecz ze wzruszenia. Nagle usłyszał, że wymówiono jego nazwisko.

?— Zdrowie pana Scrooge — rzekł Bob, podnosząc wgórę szklankę, — czy słyszycie, zdrowie mego pryncypała, któremu zawdzięczamy dzisiejszą ucztę!

?— Zacny pryncypał, rzeczywiście, bardzo zacny! — wykrzyknęła pani Cratchit, zaperzywszy się od gniewu. — Chciałabym, żeby się tu znajdował, wyprawiłabym mu ucztę, miałby się zpyszna. Nie wiem, czyby strawił wszystko, czembym mu usłużyła!

?— Moja kochana — rzekł Bob — dzieci!... Wigilja Bożego Narodzenia!

?— W istocie, potrzeba Bożego Narodzenia, aby pić za zdrowie takiego skąpca, takiego sknery, takiego tyrana, nieczułego, nieubłaganego, jak ten kamienny Scrooge. Ty wiesz o tem najlepiej, Robercie, biedny mój mężu, — ty wiesz, jak się pastwi nad tobą, — jak ci zwolna krew wysysa.

?— Moje życie! — mówił Bob łagodnie — moje życie! — Boże Narodzenie!

?— Wypiję za jego zdrowie przez przywiązanie do ciebie i przez cześć należną dzisiejszej uroczystości. Życzę mu więc wesołych świąt, szczęśliwego roku i długiego życia. Lecz czy Opatrzność święta i sprawiedliwa jednego jest z nami zdania, o tem bardzo wątpię.

?Dzieci poszły za przykładem rodziców i spełniły to zdrowie, jedyna rzecz, którą w tym dniu uczyniły z niechęcią. — Scrooge był postrachem rodziny, a wspomnienie jego nazwiska rozciągnęło nad uczciwem gronkiem posępną chmurę, wiszącą przez kilka minut. Wszystkie twarze zasmuciły się i sposępniały. Potem wróciła znowu najwyższa wesołość. Bob oznajmił im, że upatrzył dla Piotra miejsce, które mu może przynieść ze dwanaście złotych tygodniowo. Malcy śmieli się jak opętani, usłyszawszy, że pan Piotr idzie na swój chleb i że będzie robił interesa; pan Piotr głęboko się zamyślił, zmarszczył czoło, wysunął naprzód rogi kołnierzyka i układał plany, co też zrobi z pieniędzmi, gdzie je ulokuje, gdy ujrzy się posiadaczem kapitałów. Marta, biedna szwaczka z pobliskiego magazynu mód, opowiedziała zkolei, jakie robi roboty, ile godzin dziennie pracuje bez wypoczynku, cieszyła się na myśl, że jutro będzie mogła spać dowoli. Dodała, że przed kilkoma dniami widziała jakąś hrabinę i młodego lorda, podobnego wzrostem i postawą do Piotrusia; pan Piotr zdumniał i wspaniale poprawił kołnierzyk. Sądził się być lordem przez chwilę. Wreszcie Tomaszek zanucił żałosnym, cienkim głosikiem balladę o dziecięciu zbłąkanem i zasypanem w śniegu.

?Nic nie było arystokratycznego, nic wzniosłego w całem tem kole. Rodzina nie odznaczała się pięknością, ubrani byli więcej niż skromnie, biednie; obuwie ich nie zalecało się nieprzemakalnością; suknie wytarte, zużyte, świecące łatami. Byli jednak szczęśliwi, wdzięczni Bogu, kochali się wzajemnie, poprzestawali na swojem, a w chwili gdy Scrooge opuszczał izdebkę, szczęście ich i wesołość wzrastały widocznie, w miarę jak duch skrapiał każdy kącik, każdą osobę, czarodziejską swą pochodnią. Duch zatrzymał się przy każdym, długo stał nad Tomaszkiem i odchodząc, kilkakrotnie spoglądał na dziecinę z uczuciem i politowaniem.

?Noc była ciemna, ponura, śnieg padał płatami, a gdy Scrooge unosił się z duchem po ulicach miasta, ogień błyszczał we wszystkich oknach. Tu wahające się światełko dawało widzieć przygotowania do skromnej uczty familijnej, talerze wygrzewały się na kominie — tam znowu grono dzieci biegło na spotkania powracających z miasta braci, sióstr, krewnych i przyjaciół; — gdzie indziej na roletach rysowały się oblicza osób, siedzących u stołu.

?Sądząc po liczbie osób przeciągających tłumami po ulicach, możnaby mniemać, że nikogo niema w mieszkaniach, tymczasem wszędzie gospodarstwo z upragnieniem oczekiwało na gości. Dlatego też duch był zachwycony, uradowany, na wszystkie strony potrząsał pochodnią, rozlewając wszędzie wesołość i zadowolenie. Nawet człowiek zapalający latarnie gazowe i znaczący swój bieg po ciemnych ulicach nagłemi wytryskami światła, nawet ten człowiek zaczął się śmiać na całe gardło, gdy duch otarł się o niego.

?Poczciwiec nie mógł sam sobie zdać sprawy z tego nagłego wybuchu wesołości. Skądże mógł przypuścić, że duch Wigilji Bożego Narodzenia dotknął go swem ramieniem.

?Nagle, zdziwiony i przestraszony Scrooge znalazł się bez żadnego zapowiedzenia wpośród obszaru smutnego, pustego, gdzie niegdzie zarzuconego ogromnemi bryłami granitu. Rzekłbyś, że to

cmentarz olbrzymów; woda sączyła się na wszystkie strony, mróz tylko tamował jej bieg dowolny; w tej samotni rósł tylko mech i karłowate jakieś rośliny.

?— Gdzież jesteśmy? — zapytał Scrooge.

?— Tam, gdzie żyją górnicy, którzy pracują we wnętrznościach ziemi. Ci mnie także znają. Patrz!

?Światło zabłysło w okienku lepianki — pobiegli w tę stronę. Przesunęli się przez ścianę z gliny i błota i znaleźli w chatce wesołe towarzystwo. Jakiś starzec, staruszka, ich dzieci, wnuki, sąsiedzi, wszyscy przybrani w świąteczne suknie, siedzieli około stołu. Starzec głosem drżącym zanucił kolendę — zgromadzeni powtarzali chórem każdą zwrotkę. Duch pobłogosławił; niedługo bawił w tem miejscu, kazał Scrooge'owi trzymać się oburącz za płaszcz i poniósł go — gdzie? zgadnijcie! Wszakże nie w morze? Właśnie że tak, na morze. Scrooge tak był zajęty trzymaniem się płaszcza, że zpoczątku nic nie uważał, lecz nagle zrobiło mu się bardzo zimno — obejrzał się i ujrzał ze zgrozą, z przerażeniem, jak zdala niknął ostatni pas ziemi, jak niknęły nagie skały. Został odurzony głuszącym rykiem bałwanów, rozbijających się z łoskotem piorunów w łonie pieczar i przepaści morskich, które morze wyryło, jak gdyby w napadzie szaleństwa i wściekłości chciało podkopać i obalić ląd stały.

?Zbudowana na smutnej, samotnej, sterczącej z pośród wód skale, o kilka mil od lądu, rok cały zapamiętale uderzana bałwanami, wznosiła się latarnia morska. U stóp jej wiły się niezmierne zwoje roślin morskich, u szczytu gnieździły i bujały dzieci wiatru i burzy, drapieżne ptaki morskie, wznosząc się i opadając naprzemian.

?W tem jednak miejscu dwaj strażnicy, pilnujący ognia latarni, rzucającego na straszliwy przestwór smugę światła, siedzieli u prostego stołu, a podawszy sobie twarde dłonie i popijając grog, życzyli świąt wesołych i szczęśliwego roku; potem starszy, którego oblicze pocięte srogością wiatru i surowością klimatu wyglądało jak starożytny poszczerbiony posąg, zanucił chrapliwym głosem pieśń dziką, surową, którą zdala usłyszawszy, wziąć było można za wycie wiatru. Duch ich pobłogosławił i unosił się dalej, dalej, ponad przestwory bezdennego, wzburzonego oceanu, wreszcie w pośród mórz, zdala od brzegów i lądów, w szybkim swym biegu spuścili się nasi podróżni na pokład miotanego burzą okrętu. Wtedy duch przebiegł ze Scrooge'em wszystkie zakątki olbrzymiego gmachu, był u steru, u przodu, w kajucie oficerów, w kajutach majtków, wzleciał na maszty, gdzie czuwały straże; każdego błogosławił, nad każdym wstrząsał pochodnią, a każdy nucił kolendę, a gdy było dwóch razem, życzyli sobie i winszowali, mówili i myśleli o Bożem Narodzeniu, przypominając ubiegłe wigilje spędzone na łonie familji i wynurzając pragnienia, aby na rok przyszły mogli się znajdować u drogich ognisk rodzinnych. Wszyscy, wszyscy bez wyjątku, źli i dobrzy, gniewliwi i potulni, weseli lub smutni, zamienili w dniu tym szczere, przychylne wyrazy, wszyscy sobie przebaczyli, wszyscy mówili o nieobecnych przyjaciołach i krewnych, spodziewając się, że tam, na lądzie — także o nich i myślą i do nich wzdychają.

?Gdy Scrooge, przejęty wielkością i uroczystością podróży, wsłuchiwał się w ich rozmowy, pomieszane z żałosnem echem wiatru, gdy się zastanawiał nad sobą i przedzierał wzrokiem otaczającą go ciemność, drgnął nagle, posłyszawszy śmiech dźwięczny i hałaśliwy. Jakże się zdziwił, spostrzegłszy, że śmiech ten wydobywał się z gardła jego siostrzeńca, gdy się ujrzał w pokoju ciepłym, czystym, suchym, przyjemnym, wybornie oświeconym. Obejrzał się zdumiony; duch stał przy nim, uśmiechał się słodko i dobrotliwie wpatrywał się w młodego człowieka.

?— Ah ha! ha! ha! — śmiał się siostrzeniec — ha! ha! ha!

?Jeżeli kto z was zna człowieka weselszego, któryby umiał śmiać się lepiej i serdeczniej, jak siostrzeniec Scrooge'a — proszę mi dać jego adres — chciałbym go poznać. Lecz bardzo wątpię, czy taki drugi śmieszek znajduje się gdziekolwiek.

?Jeżeli choroby i smutki są zaraźliwe i łatwo się udzielające, to też szczęśliwem, szlachetnem i mądrem Opatrzności zrządzeniem nic bardziej udzielającego się niema na ziemi, jak wesołość i dobry humor. Jeśli się inni śmieją około ciebie, a ty, nie mając ciężkiej i głębokiej zgryzoty, nie dzielisz ich wesołości — wyrzekam się ciebie — co więcej — lękam się ciebie — nosisz w swem łonie zaród występku i zbrodni. Śmiej się z innymi, płacz, gdy oni płaczą. Precz samoluby i głazy!

?Dlatego też, gdy siostrzeniec Scrooge'a śmiał się i trzymał za boki, śmiała się młoda jego żonka, siostrzenica Scrooge'a, śmiały jej siostry, śmieli przyjaciele całem gardłem. Ha! ha! ha! — cudowna muzyka. — Pasjami lubię.

?— Tak, daję wam na to słowo — mówił siostrzeniec Scrooge'a. — Tak jest, powiedział mi — Boże Narodzenie! Głupstwo! Czyście słyszeli coś podobnego w życiu. Ha! ha! ha!

?— Tem gorzej dla niego, Alfredzie — rzekła młoda małżonka — tem gorzej — trzeba go żałować, ale nie wyśmiewać się z niego. — I sama śmiać się zaczęła.

?— A, to stary dziwak! — mówił Alfred — mógłby być przyjemniejszym, lecz cóż robić, jego wady najcięższą są dlań karą i utrapieniom — dlatego też ja się nie wyśmiewam z niego, lecz z jego dziwactwa.

?— Jest podobno bardzo majętny, Alfredzie — tak mi sam mówiłeś!?

?— A, cóż mu przyjdzie z majątku — czy on go umie użyć dla siebie lub drugich?

?— Wiesz co, Alfredzie, nie znam go, ale go niecierpię! — Wszystkie kobiety powtórzyły ten okrzyk.

?— Ja tego nie powiem — rzekł Alfred. — Najpierw jest bratem ukochanej mojej matki; zresztą, komuż szkodzą jego gniewy i nienawiść, jaką ma dla całego rodzaju ludzkiego. Nie kocham go, to prawda, lecz serdecznie nad nim boleję — gdy pomyślę, że w tej chwili, gdzie się wszyscy cieszą i weselą — jest sam — czy wy rozumiecie — sam jeden. Jak gdyby nie mógł przyjść i podzielić z nami skromnego obiadku.

?— Tak sądzisz — odezwała się młoda małżonka; — a mnie się zdaje, że stracił bardzo dobry obiad. — Wszyscy obecni przyznali jej słuszność. Alfred tylko z niedowierzaniem pokręcił głową i oświadczył, że niebardzo ufa zdolnościom młodych gospodyń.

?— No mniejsza o to — odpowiedziała — skończże to, coś zaczął opowiadać o twoim wuju.

?— Otóż żałuję, że stracił kilka chwil przyjemnych, któreby mu wcale nie zaszkodziły. Bez żadnej wątpliwości, towarzystwo nasze jest weselsze niż jego myśli, z któremi został sam na sam, w tym wilgotnym, ciemnym, zakurzonym kantorze. Nie wstrzyma mnie to jednak od składania mu corocznie szczerych życzeń — czy mu się to podoba lub nie, ponieważ lituję się nad nim. Wolno mu wyszydzać zwyczaj obchodu wigilji Bożego Narodzenia, spodziewam się jednak, że wreszcie przed śmiercią lepszego nabierze w tym względzie przekonania, gdy mnie ujrzy wchodzącego z zapytaniem: „Wujaszku — jakże się miewasz?“ a potem: „Wujaszku — życzę ci wesołych świąt.“ Chociażby wreszcie mój upór nasunął myśl obdarzenia biednego buchaltera jakim tysiączkiem złotych, jużby to coś znaczyło. Nie wiem — ale mi się jakoś widzi, że wczoraj nie był tak zatwardziały jak dawniej.

?Teraz wszyscy się znowu wyśmiewać zaczęli z zarozumiałości siostrzeńca. Lecz ponieważ ten wybornego był usposobienia, nie pytał więc z czego się śmieją i zaczął im wtórować. Po herbacie zajęto się muzyką, damy śpiewały, młodzież towarzyszyła im na skrzypcach i fortepianie. Młoda gospodyni grała bardzo pięknie na harfie i zaśpiewała małą piosenkę (gdybyście ją raz usłyszeli, potrafilibyście zaraz zagwizdać — nadzwyczaj łatwa), ulubioną niegdyś śpiewkę zmarłej siostry Scrooge'a. Na ten dźwięk, tak znany, cała przeszłość znowu stanęła mu w oczach, coraz więcej rozrzewniony, pomyślał sobie, że gdyby ją był częściej słyszał, możeby był staranniej pielęgnował słodkie związki rodzinne.

?Następnie grano w gry niewinne; wreszcie, gdy wszyscy, rozweseleni, trzymali w ręku kieliszki, któremi spełniali różne wiwaty, powstał siostrzeniec i zawołał: — Panowie i panie — jedno jeszcze zdrowie. Za pomyślność wujaszka Scrooge!

?— Niech i tak będzie — wykrzyknęli wszyscy, — zdrowie samotnika! — zdrowie pana Scrooge!!

?— Wesołych świąt i szczęśliwego roku starcowi, — nie przyjął z moich ust podobnych życzeń — wszelako musi je odebrać. Zdrowie wuja Scrooge!

?Scrooge nie posiadał się z zachwycenia. Czuł się lekkim, szczęśliwym, odrodzonym. Byłby chętnie podziękował całemu towarzystwu i uścisnął siostrzeńca, gdyby duch raczył na to zezwolić. Lecz właśnie, gdy siostrzeniec wzniósł ostatni wiwat — wszystko zniknęło — Scrooge i duch wędrowali już daleko.

?Zwiedzili wiele miejsc, wiele okolic, wiele mieszkań i gmachów, zawsze z najpomyślniejszym skutkiem. Duch zatrzymywał się u łoża chorych i cierpiących, a ci zapominali natychmiast swych dolegliwości; byli na poddaszach wygnańców — a tym zdawało się, że na chwilę na ojczystej znajdują się ziemi. Zrozpaczony godził się z losem, w serce jego wstępowała uległość i nadzieja lepszej odmiany. W domach przytułku, w szpitalach, w więzieniach, wszędzie duch zostawiał błogosławieństwo, pociechę — udzielając Scrooge'owi zbawiennych nauk miłości bliźniego.

?Była to noc długa, jeżeli wszystko spełniło się w ciągu jednej nocy — lecz Scrooge wątpił o tem, — zdawało mu się, że mnóstwo Wigilij Bożego Narodzenia złożyło się na tę jedną całość. To tylko uderzyło Scrooge'a, że gdy sam w sobie nie czuł żadnej fizycznej zmiany, widmo starzało się widocznie. Scrooge zauważył tę przemianę i nic o niej nie mówił, lecz gdy wychodzili razem z jakiegoś domostwa, spojrzał na ducha i spostrzegł, że włos jego zbielał.

?— Czyż życie duchów jest tak krótkie? — zapytał nieśmiało.

?— Bardzo krótkie — przemijające. — Życie moje kończy się tej nocy — odpowiedział duch.

?— Tej nocy?

?— Tak jest — o północy. — Słuchaj — godzina się zbliża.

?Zegar wybił godzinę, trzy kwadranse na jedenastą.

?— Wybacz zbytniej mojej ciekawości — rzekł Scrooge, wpatrując się pilnie w suknię ducha — lecz widzę coś nadzwyczajnego wysuwającego się z pod twego okrycia. Powiedz mi, co to jest?

?— Patrz!

?Z fałdów sukni wywinął dwoje dzieci — wynędzniałych, wychudłych, zmizerowanych, odrażających nędzą, niechlujstwem — dzieci uklękły u stóp ducha i uchwyciły się sukni.

?— Patrz, człowieku! patrz! — wołał duch na Scrooge'a.

?Scrooge, przypatrzywszy się bliżej, cofnął się na widok tej nędzy, tego wcielonego nieszczęścia, zaniedbania, chciał coś mówić, lecz wyrazy zastygły mu w ustach, wreszcie wybąkał: — Duchu! czyjeż te dzieci?

?— Dzieci ludzi — twoi bracia. — Jedno zwie się Nędza, drugie Ciemnota. Na czole ich wyryte jest, o zamożni i majętni ludzie — wasze potępienie. Strzeżcie się, ludzie! Oświecajcie, kształćcie i wspierajcie braci waszych — bo inaczej biada wam! biada!

?— Czyż niema dla nich ratunku, schronienia, opieki? — zawołał Scrooge, gotów do poniesienia ofiary.

?— Alboż to niema więzień — alboż to niema domów zarobkowych — mówił duch z gorzką ironją, powtarzając wyrzeczone niegdyś przez Scrooge'a wyrazy.

?Zegar uderzył północ.

?Scrooge chciał coś przemówić — ducha już nie było. Gdy ostatni dźwięk zegaru rozpłynął się w powietrzu — przypomniał sobie zapowiedź Jakóba Marley'a — obejrzał się wokoło i ujrzał zbliżającą się ku sobie postać poważną, uroczystą, przybraną w szeroką, powłóczystą, ciemną oponę.

IV

Duch ostatni

?Widmo zbliżało się krokiem powolnym, poważnym, milczącym. Gdy podeszło bliżej, Scrooge zgiął kolano, ponieważ duch ten rozpościerał wokoło siebie jakiś postrach tajemniczy, nakazujący, straszliwy, a zarazem uroczy.

?Długa czarna suknia okrywała go zupełnie — głowa, twarz, kształty, wszystko niknęło — widać było tylko długą wyciągniętą rękę, inaczej byłoby go trudno rozpoznać na ciemnem tle ponurej nocy.

?Gdy stanął przy Scrooge'u, bankier ujrzał, że widmo było nadzwyczaj poważne, wysokie; uczuł się przejęty strachem — duch nie poruszał się — prześlizgiwał raczej i nie mówił ani słowa.

?— Czyż się znajduję wobec Widma Przyszłości? — rzekł Scrooge.

?Duch milczał i dalej wskazywał ręką naprzód.

?— Ukażesz mi cienie rzeczy, które się jeszcze nie stały, a które mają zajść w przyszłości? — Czy tak? — mów, duchu.

?Górna część sukni widma ściągnęła się i pochyliła na chwilę, jak gdyby duch kiwnął głową. Była to jedyna odpowiedź!

?Chociaż przyzwyczajony do towarzystwa istot nadprzyrodzonych, Scrooge doznał takiego przestrachu wobec tego grobowego milczenia, że nogi drżały pod nim jak we febrze, nie mógł się na nich utrzymać — czuł, że pada. Duch zatrzymał się chwilkę, jak gdyby chciał mu pozostawić czas zebrania sił i przyjścia do siebie.

?Lecz niepokój i obawa Scrooge'a wzrastały z każdą chwilą — dreszcz lodowaty wstrząsał nim od stóp do głowy, gdy pomyślał, że pod tym grobowym całunem kryją się oczy wlepione weń nieruchomo: — Duchu przyszłości — zawołał — lękam się ciebie więcej, jak twoich poprzedników, których już widziałem. Lecz ponieważ wiem, że idzie tu o moje szczęście, o moje ocalenie, o moje

zbawienie — ponieważ wiem, że pragniesz mojego dobra, ponieważ mam stałe, niezłomne postanowienie korzystania z twych nauk i przykładów, ponieważ przedsięwziąłem odmienić się i przedzierzgnąć w innego całkiem, niż dotąd, człowieka — jestem gotów całem sercem towarzyszyć ci wszędzie. Błagam cię — odpowiedz mi.

?Żadnej odpowiedzi. — Ręka ciągle wyciągnięta naprzód.

?— Prowadź mnie — prowadź! Noc szybko upływa — wiem, że każda jej chwila jest dla mnie niezmiernie droga. — Duchu! prowadź mnie.

?Duch postąpił naprzód. Scrooge szedł za nim w cieniu sukni, a cień ten zdawał się go otaczać i unosić.

?Nie można powiedzieć stanowczo, czy weszli do miasta, czy też miasto nagle wyrosło około nich. Scrooge się obejrzał i poznał, że jest w Londynie — na giełdzie — pomiędzy kupcami, bankierami, agentami, szybko biegającymi w różne strony, to znowu gromadzącymi się w małe kółka dla rozprawiania o interesach. — Jedni spoglądali na zegarek, inni bawili się łańcuszkiem, — inni młynkowali palce około palców, wodzili ręką po czole, — jeden drugiego chwytał za guzik od surduta i t. p., jak to Scrooge widywał zwykle w tem zgromadzeniu.

?Duch zatrzymał się w pobliżu małego kółka bankierów. Scrooge, spostrzegłszy rękę widma, wyciągniętą w tym kierunku, zbliżył się dla podsłuchania rozmowy.

?— Nie — mówił jakiś tłusty jegomość, — nie wiem nic więcej. Słyszałem tylko, że umarł.

?— Kiedy? — zapytał inny.

?— Zdaje mi się, że tej nocy.

?— Na cóż — co mu się zrobiło, — czy chorował? — wtrącił trzeci, zażywając ogromny niuch tabaki. — Myślałem, że ten nigdy nie umrze.

?— Na co? — odpowiedział pierwszy, ziewając — na co? Bóg to wie.

?— Cóż zrobił z pieniędzmi — jakże rozporządził majątkiem? — dodał ktoś z boku.

?— Nie wiem takich szczegółów — musiał komuś zapisać — wiem z pewnością, że nie mnie.

?Na ten dowcip wszyscy się roześmieli.

?— Ciekawy jestem, kto też pójdzie na jego pogrzeb. Z nikim nie żył, u nikogo nie bywał — nie wiem nawet, czy miał jaką rodzinę, niema zaproszeń. A gdybyśmy też poszli bez zaproszenia. Kto z was raczy mi towarzyszyć, służę mu moim powozem.

?— Skądże ta nagła ochota? — zapytał stojący obok niski, pękaty kapitalista.

?— Skąd? Trzeba wam wiedzieć, że jak się zastanawiam, zdaje mi się, że ja byłem najpoufalszym i najbliższym jego znajomym. Ilekroć spotkaliśmy się na ulicy, zawsześmy stawali i rozmawiali ze sobą. Żegnam panów — godzina poczty nadchodzi — dowidzenia!

?Kółko się rozeszło — Scrooge znał ich wszystkich. Spojrzał na ducha znacząco — jak gdyby prosząc o wyjaśnienie całej tej rozmowy.

?Duch wyśliznął się na ulicę i wskazał ręką dwie rozmawiające ze sobą osoby. Scrooge znowu zaczął słuchać, pewien, że tym razem dociecze zagadki.

?I tych znał doskonale — byli to dwaj bogaci, bardzo szanowni kupcy. Ubiegał się niegdyś o ich względy i poważanie, — rozumie się — w interesach.

?— Jak się kochany pan miewa? — zagadnął jeden.

?— Nieźle — dziękuję — a pan?

?— Bardzo dobrze — cóż, stary wyga zamknął rachunki.

?— Mówiono mi. — Zimno? przykry czas.

?— Ba! — Jak to zwykle o tej porze — Boże Narodzenie. Wartoby się przejechać sankami.

?— Zapewne — ale nie mam czasu. Dowidzenia!

?Ani słowa więcej. Na tem ograniczyła się cała ich rozmowa.

?Zpoczątku Scrooge dziwił się, że duch przywiązywał jakąś ważność do rozmów tak błahych i nieznaczących — lecz później zastanowił się, że musiał w tem być jakiś ukryty a ważny powód. Przebiegł tedy myślą wszystkie okoliczności słyszanych rozmów. Nie mogły się żadną miarą ściągać do jego dawnego wspólnika, Jakóba Marley'a, ponieważ tamten należał do przeszłości, a duch, który go prowadził, zajmował się przyszłością; łamał sobie głowę, do kogo je zastosować. Wszelako przekonany, iż w tem wszystkiem jest dla niego nauka i pożytek, że, jak mu to Marley zapowiedział — odwiedziny duchów mają na celu jego dobro i zbawienie, postanowił starannie chwytać wszystko, co usłyszy lub spostrzeże, a nadewszystko uważać, jak się też znajdować będzie sam w trudnych okolicznościach, żeby z tego wyciągnąć korzyść i poprawę.

?Przedewszystkiem szukał swojej osoby, lecz kto inny zajmował jego miejsce, a chociaż zegar giełdowy wskazywał godzinę, o której zwykł był przychodzić na giełdę — nie widział się. Mocno go to obeszło — potem powiedział sobie — zaszło coś ważnego — musiałem odmienić tryb życia. Wprowadziłem w wykonanie przedsięwziętą poprawę, skorzystałem już z poprzednich odwiedzin.

?Duch stał przy nim milczący, ponury, z ręką naprzód wyciągniętą. Gdy Scrooge ocknął się z zamyślenia, zdawało mu się, że widmo wpatrywało się w niego uporczywie. Na tę myśl zadrżał od stóp do głowy.

?Porzuciwszy giełdę i środek miasta, udali się w uliczki kręte i wąskie, i znaleźli się nagle w pokoju ciemnym, przy łóżku, na którem spoczywała postać okryta szerokiem, spadającem do ziemi suknem. Pokój, jak mówiłem, zupełnie był ciemny, słabe, blade światełko oświecało niewyraźnie zwłoki, przy których nikt nie płakał, nad któremi nikt nie czuwał.

?Scrooge spojrzał na widmo, którego ręka wskazywała mu głowę zmarłego. Całun był zarzucony tak niedbale i lekko, że za najmniejszem poruszeniem można było go odkryć i rozpoznać twarz; Scrooge chciał to uczynić, miał wielką ochotę, lecz w ostatniej chwili zabrakło mu sił do wykonania tego przedsięwzięcia.

?— Duchu — uchodźmy stąd, to miejsce jest straszne. Przysięgam ci, nie zapomnę tej nauki — wierz mi — ale odejdźmy.

?Widmo wskazywało mu ciągle głowę zmarłego.

?— Rozumiem — rzekł Scrooge — rozumiem, — chciałbym, lecz nie mam dość siły.

?Duch patrzał nań ciągle z wytężoną uwagą.

?— Jeśli jest ktokolwiek, kogo śmierć tego człowieka obchodzi — mówił Scrooge w gorączkowym niepokoju — pokaż mi go — zaklinam!

?Widmo stanęło przed jego oczyma, i natychmiast ujrzał pokój inny, jasny, oświecony słońcem. W pokoju znajdowała się młoda kobieta i kilkoro dzieci. Czekała na kogoś niecierpliwie, chodziła po pokoju, drżała za najmniejszym szmerem, wyglądała przez okno, patrzała na zegar, chciała szyć, lecz palce jej nie słuchały i z trudnością znosiła wesołość dzieci.

?Wreszcie dało się słyszeć stąpanie — pobiegła — otworzyła drzwi, wszedł jej mąż, człowiek młody, urodziwy — twarz miał zasępioną, ponurą, stroskaną, widać na niej było pomieszane oznaki smutku, zmartwienia i promyk radości, który usiłował pokryć.

?Siadł, wsparł głowę na ręku — podano mu jedzenie, zaczął jeść i położył łyżkę. Ona zapytała go bojaźliwie, po wielkim namyśle, głosem cichym: „Jakież wiadomości.“ Nie wiedział, co odpowiedzieć.

?— Cóż — dobre, czy złe?

?— Złe.

?— Więc wszystko, wszystko stracone?

?— Nie, Karolino. — Można jeszcze mieć nadzieję.

?— Tak — no — jeżeli on się dał wzruszyć; po takim cudzie można się wszystkiego spodziewać.

?— On — nic go już nie wzruszy — umarł.

?Ta kobieta była słodka, cierpliwa, dobra jak anioł — widać to było z jej twarzy. A jednak ta anielskiej poczciwości istota złożyła ręce na znak podziękowania Opatrzności za tę niespodzianą wiadomość. Zaraz potem wzniosła oczy ku niebu, błagając przebaczenia za mimowolną radość i zapomnienie.

?— Komuż więc nasz dług należeć się będzie?

?— Nie wiem, Karolinko — musi się zgłosić jego spadkobierca.

?— Na kogóż przejdzie nasz dług?

?— Nie wiem tego, lecz spodziewam się, że przed uporządkowaniem jego sukcesji znajdę potrzebne pieniądze, a gdybym nawet nie miał wszystkiego, nie przypuszczam, abym w jego spadkobiercy miał napotkać człowieka równie nieubłaganego, wierzyciela równie nielitościwego. Możemy spać dziś spokojniej, Karolino.

?Tak jest — z serc tych dwojga ludzi spadł wielki ciężar. Twarzyczki dzieci stojących wokoło i przysłuchujących się rozmowie, której wcale nie pojmowały, zajaśniały żywszą radością. — Śmierć tego człowieka wracała spokój całej rodzinie. Jedynem więc wrażeniem, wywołanem tym wypadkiem, jakie duch ukazał Scrooge’owi, było uczucie radości.

?— Duchu, — rzekł Scrooge — ukaż mi jaką scenę czułości, żalu, bezpośrednio połączoną ze śmiercią. — Ten pokój ciemny, grobowy, któryśmy przedtem opuścili, prześladuje mnie straszliwie i nie wychodzi mi z myśli.

?Widmo poprowadziło go kilkoma dobrze znajomemi uliczkami; — w miarę wędrówki Scrooge oglądał się na wszystkie strony, szukając siebie, lecz nigdzie nie mógł się znaleźć. Weszli do mieszkania Boba Cratchit, w którem był niegdyś z poprzednim duchem. — Tam zastali matkę, siedzącą z dziećmi około ognia.

?Byli wszyscy spokojni — bardzo spokojni. Ruchliwe malcy stali w kąciku jak małe posążki, — Piotr siedział, trzymając na kolanach otwartą księgę. Matka i córki szyły. Wszystko pogrążone było w milczeniu i ciszy.

?Piotr czytał: „I zabrał dziecię do chwały Swojej“, właśnie gdy Scrooge i duch przestąpili próg mieszkania.

?Matka położyła robotę i zakryła twarz rękoma.

?— Oczy mnie cokolwiek bolą, zapewne od szycia — rzekła przytłumionym głosem. — Nie chciałabym, żeby ojciec dostrzegł, że są czerwone. Wkrótce nadejdzie.

?— Tak się zdaje, już godzina minęła — rzekł Piotr, zamykając księgę. — Uważam, że od niejakiego czasu ojciec bardzo się spóźnia — wszak prawda, mateczko?

?Wszyscy znowu zamilkli. Wreszcie matka odezwała się głosem łkającym: — Był czas, gdy ojciec chodził szybko, bardzo szybko — kiedy nosił na ręku Tomaszka.

?— Prawda — prawda! — zawołali razem.

?— Tomaszek był bardzo lekki — dodała matka, — a ojciec go tak kochał. Lecz słyszę go za drzwiami. Mówmy o czem innem.

?Podniosła się i wyszła na jego spotkanie. Bob wszedł wolniutko, zawinięty w swój wełniany szalik — biedne ojczysko! — Podano mu herbatę, która stała przy ogniu, wszyscy ubiegali się, aby mu usługiwać. Dwoje małych wdrapało się na kolana ojcowskie i okrywali go pocałunkami, jak gdyby chcieli wyrazić: „Kochany ojcze — nie martw się — nie smuć się — nie myśl o tem.“ Bob był bardzo wesoły, do każdego przemawiał, wszystko szło jak najlepiej, spojrzał na stół, zobaczył robotę pani Cratchit, chwalił jej zręczność i biegłość córek. — Czy to będzie gotowe na niedzielę? — Była to zasłonka na grób.

?— Będzie. Czy dziś znowu tam chodziłeś, Robercie?

?— Przypadkiem tylko, moja duszko! Tak — przechodząc. Żałowałem, że was nie było, ach, jak tam czysto, jak starannie wszystko utrzymane! Pójdziecie w niedzielę, nieprawdaż? Będziemy chodzić często, jak najczęściej, przyrzekłem mu, że go odwiedzę każdej niedzieli. — Moje dziecię! moje najdroższe dziecię! moje życie najukochańsze!!

?Wybuchnął płaczem i łkaniem — biedny Robert — nie mógł się utulić. Wreszcie, gdy się cokolwiek uspokoił, wszedł do drugiej izby. W rogu pokoju stało łóżeczko... Bob siadł przy niem, zamyślił się, potem spokojniejszy wrócił do rodziny.

?Wszyscy siedzieli i rozmawiali. Bob wspomniał im o grzeczności i uprzejmości siostrzeńca swego pryncypała. — Spotkał mnie dziś na ulicy, a spostrzegłszy, że jestem jakiś nieswój, — byłem cokolwiek zamyślony, — przystąpił i troskliwie wypytywał o powód mego frasunku. Opowiedziałem mu wszystko. „Mocno mnie to boli — pojmuję, co to za zmartwienie dla pana i zacnej jego małżonki — strata ukochanego dziecięcia. Jeżeli mogę być w czem użytecznym, jestem na rozkazy państwa.“ To mówiąc, dał mi swój bilet wizytowy. — „Proszę pana, panie Cratchit — przyjdź mnie odwiedzić w tych dniach, chciałbym z panem pomówić.“ — Oczarował mnie, nie tak obietnicami, jak uprzejmością, grzecznością. Myślałby kto, że on jest z nami w stosunkach przyjaźni i że znał osobiście Tomaszka.

?— Ten pan ma zacne, szlachetne serce, — tak mi się zdaje — wtrąciła pani Cratchit.

?— Nie wątpiłabyś wcale o tem, gdybyś z nim raz przynajmniej mówiła. Anioł, nie człowiek, — nicby mnie zdziwiło, gdybym się dowiedział, że znalazł dla Piotra korzystne miejsce.

?— Czy słyszysz, Piotrze? — rzekła pani Cratchit.

?— A wtedy — zawołała któraś z dziewcząt — Piotruś się ożeni i założy handel!

?— Proszę mi nie wspominać o małżeństwie — rzekł Piotr, wykrzywiając się z powagą.

?— Niema nic niemożliwego na świecie — dodał Bob — jestem jednak przekonany, że w jaki bądź sposób los nas rozłączy, nikt z was nie zapomni o biednem mojem dziecięciu, nikt nie zapomni o tem pierwszem rozłączeniu!

?— Nikt i nigdy! — zawołali wszyscy razem.

?— I wiem — tak — śmiało mogę to wyrzec — że przez pamięć na słodycz, cierpliwość, łagodność i dolegliwości biednego Tomaszka wszyscy będziecie łagodni, cierpliwi, miłujący się nawzajem.

?— Tak, kochany, drogi ojcze!

?— Błogosławię was z całej duszy, z całego serca!

?Wszyscy się uścisnęli, ucałowali, wszyscy mieli łzy w oczach.

?— Duchu! — rzekł Scrooge — przeczucie mi mówi, że godzina naszego rozstania się zbliża, — czuję to. — Przed rozejściem się powiedz mi, kto był ten człowiek leżący w ciemnym pokoju na łożu śmiertelnem?

?Duch przeniósł go znowu pośpiesznie, gwałtownie w okolice giełdy.

?Nie zatrzymali się nigdzie, chociaż Scrooge błagał go o chwilkę zwłoki.

?— Poczekaj przez litość. Wszakże to dom, w którym ja mieszkam, tu jest mój kantor, pozwól, niech zajrzę, niech się zobaczę takim, jakim będę w przyszłości.

?Duch wskazał ręką w przeciwnym zupełnie kierunku.

?— Mój dom jest tutaj. Dlaczego każesz mi iść gdzie indziej?

?Nieubłagana ręka nie zmieniała drogi; Scrooge pobiegł jednak, zajrzał przez okno. Zawsze był tam kantor, lecz już nie jego. Inaczej był urządzony, inaczej oświetlony — kto inny siedział na jego miejscu. — Duch ciągle wskazywał drogę.

?Scrooge poszedł za nim niespokojny, lękliwy, zadawał sobie ciągłe pytania, co się z nim stać mogło, co się przytrafiło. — Tak rozmyślając, stanął wraz z przewodnikiem u żelaznych sztachet, podniósł głowę. Cmentarz!

?Cmentarz! — Tu zapewne, w głębi ziemi, spoczywa nieszczęśliwy, którego nazwisko miał poznać.

?Duch wiódł go po krętych ścieżkach cmentarza, wpośród grobowców, pomników, kamieni i innych oznak żalu, pamięci, cnót, zwycięstw, chwały, szlachetności i t. p. Wreszcie zatrzymał się i wskazał na jeden grób. Poruszenie i postawa widma były więcej jeszcze nakazujące, poważne, uroczyste; Scrooge drżał.

?— Nim postąpię naprzód, nim zbliżę się do kamienia, który mi wskazujesz, powiedz mi, zaklinam cię — odpowiedz na to jedno pytanie: czy to wszystko jest obrazem tego co stać się musi, czy też tego co stać się może?!

?Duch, za całą odpowiedź, opuścił rękę nad grób, przy którym stanął. Scrooge wlókł się na kolanach, blady, drżący, podniósł ręce, patrzał w postać ducha, którego palec zawisł nad zaniedbanym, opuszczonym, samotnym grobem — wreszcie z konwulsyjnem wysileniem opuścił oczy na kamień i wyczytał:

EBENEZER SCROOGE.

?— Więc to siebie widziałem na śmiertelnej pościeli?

?Widmo powiodło ręką od grobu do niego i od niego do grobu.

?— Nie, duchu! nie! oh, nie! — zawołał, chwytając go za suknię. — Słuchaj — jam już inny człowiek — całkiem inny; nie ten, jakim byłem, nim dostąpiłem szczęścia poznania ciebie i twoich braci. Czyż dla mnie niema ratunku, czyż niema nadziei, czy niema zbawienia?

?Po raz pierwszy ręka ducha zadrżała.

?— Dobry duchu! — mówił dalej Scrooge, klęcząc u stóp widma, — wstaw się za mną, wybłagaj dla mnie litość. Powiedz mi, że mogę zmienić te wszystkie obrazy, odmieniwszy życie.

?— Czcić będę Boże Narodzenie — nie w dzień jeden, lecz przez cały rok Boży. — Żyć będę przeszłością, teraźniejszą i przyszłością. Wszyscy trzej nie odstąpicie mnie na chwilę, a raczej ja ciągle będę z wami, korzystając z waszych nauk.

?Tak mówiąc i szamocząc się, uchwycił rękę widma.

?Duch chciał ją wyrwać, — lecz Scrooge ścisnął go z niesłychanem wysileniem. — W tem pasowaniu się z widmem uderzył gwałtownie ręką, obrócił się, powstał na nogi i poznał... że jest w swoim pokoju, we własnem mieszkaniu. — Zamiast ręki ducha ściskał w ręku słupek od własnego łóżka; cóż za sny straszliwe!!!

V

Przebudzenie

?Scrooge ściskał w ręku słupek od łóżka.

?Tak jest, od swego własnego łóżka — w swoim własnym pokoju.

?— Chcę żyć w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości! — powtarzał bezustanku, wyskakując z łóżka. — Nauki trzech duchów pozostaną w mej pamięci. O, Jakóbie Marley! dobry mój przyjacielu! Błogosławię Niebo i Boże Narodzenie za twe posłannictwo. Tak jest! powtarzam to na kolanach.

?Tak był wzruszony, tak zgorączkowany dobremi przedsięwzięciami, że drgający głos nie mógł wyrazić uczuć, przepełniających jego piersi. W czasie walki z ostatnim duchem gwałtownie szlochał i miał twarz zalaną łzami.

?— Tak; usunę, odmienię, zatrę wszystkie obrazy straszliwej mej przeszłości.

?Zaczął się ubierać — drżącemi rękoma targał i przekręcał ubranie — wywracał do góry nogami, z pośpiechu wszystko mu z rąk leciało.

?— Nie wiem sam, co robię! — wykrzyknął płacząc i śmiejąc się zarazem. — Czuję się lekkim jak piórko — szczęśliwym jak anioł — wesołym jak student — rozmarzonym jak pijany. Wiwat Boże

Narodzenie! Życzę wszystkim wesołych świąt! Pomyślnego roku — radosnej przyszłości! Mój Boże! mój Boże!

?Podskakując, przebiegł całe mieszkanie — z sypialni do salonu — do gabinetu — tchu zabrakło staruszkowi.

?— W tej ryneczce stał kleik — mówił, stojąc przed kominkiem — temi drzwiami wsunęło się widmo Marley'a, a w tem miejscu siedział duch teraźniejszości! przez to okno widziałem pokutujące duszyczki.

?— Tak, widziałem! A teraz wszystko jest na zwykłem miejscu. Mój Boże! — Roześmiał się, śmiechem pełnym, zdrowym, serdecznym — nie śmiał się od lat niepamiętnych.

?— Nie wiem nawet, jaki jest dziś dzień. Nie wiem, ile czasu spędziłem w towarzystwie duchów. Nic nie wiem. Mniejsza o to. — Jestem jak nowonarodzone dziecię, ah! ah!

?Odgłos dzwonów z kościołów sąsiednich przerwał mu radosne okrzyki.

?Dę! dę! dę! — prześlicznie — wspaniale — cudowna muzyka! pasjami lubię!

?Pobiegł do okna, otworzył je naoścież — wyjrzał na ulicę. Najmniejszej mgły — żadnej zawiei. Zimno czyste, błyszczące — wesołe, orzeźwiające — poruszające krew w żyłach — złociste słońce — niebo uśmiechające się, dzwony najradośniejsze. — Wspaniale — cudownie!

?— Co to za dzień mamy dzisiaj? — zapytał przez okno małego wystrojonego chłopczynę — który stanął i z podziwem wpatrywał się w niego.

?— Co? — odpowiedział chłopiec, robiąc wielkie oczy.

?— Co za dzień mamy dzisiaj? powiedz mi, mój chłopeńku!

?— Dziś — a skądże pan przybywa — dziś jest Boże Narodzenie.

?— Boże Narodzenie? — więc się nie spóźniłem — wszystko stało się w ciągu jednej nocy. Duchy zrobiły wszystko przez kilka godzin. Mogą wszystko, co tylko zechcą! Słuchaj — no! — mój mały!

?— Co pan każe?

?— Czy ty znasz ten sklep na rogu, gdzie sprzedają drób i wędliny, wiesz — tam jak się idzie w drugą ulicę, na prawo?

?— Rozumie się, że wiem.

?— Sprytne dziecko — rzekł Scrooge. — Znakomity chłopiec. Nie uważałeś przypadkiem wczoraj wielkiego indyka, wiszącego w oknie — nie tego drugiego — małego, ale dużego?

?— Ah, tak, pamiętam, prawie taki jak ja.

?— Rozkoszne dziecko, jaki dowcipny, co za przyjemna rozmowa! Ktoby się tego spodziewał — mówił Scrooge do siebie.

?— Mój koteczku!

?— Słucham pana!

?— Czy ten indyk jest tam jeszcze?

?— Jest, w tej chwili mu się przypatrywałem.

?— Kup mi go!

?— Czy pan ze mnie żartuje?

?— Nie, dalibóg, że nie. Idź i powiedz, żeby mi go przynieśli. Jak wrócisz z chłopcem, dam ci dwa złote, a jeżeli się bardzo pośpieszysz, wiesz — dam ci talara.

?Dzieciak nie słyszał reszty, — puścił się jak strzała, był już na rogu.

?— Poślę go Bobowi Cratchit — mówił Scrooge, zacierając ręce i śmiejąc się wesoło. Ani się domyśli, skąd to na niego spadło. Indyk dwa razy większy od Tomaszka. Podoba mi się ten żarcik.

?Napisał adres Boba, odmieniwszy pismo — otworzył drzwi, gdy przyniesiono indora, — czekał chwilkę na posłańca, a wtem wpadła mu w oczy kołatka od drzwi wejściowych.

?— Będę cię kochał i szanował całe życie — droga moja kołatko, ja, com na ciebie nigdy nie spojrzał. Jakże uczciwie wygląda. — Doskonała kołatka. — Otóż i indyk, co tam słychać, jak się macie! wesołych świąt!

?— Panie! co za indyk! Nie — ten nigdy pewnie nie utrzymał się na nogach, byłby je połamał w drzazgi, to cielę, nie ptak.

?— Wiesz co, mój bracie! nie udźwigniesz go tak daleko — masz tu za fatygę — a to na dorożkę!

?Śmiejąc się, klaszcząc w dłonie, zacierając ręce, wrócił na górę, obdarzywszy hojnie obu posłańców, którzy zasypali go podziękowaniami, siadł na fotelu i zapłakał z radości.

?Z trudnością mógł się ogolić, ręce drżały mu jak we febrze, wreszcie jako tako wywiązał się z tej drażliwej operacji — a gdyby był sobie nawet uciął kawałek nosa, to i tak byłby się cieszył i dziękował Bogu.

?Ubrał się, wdział najpiękniejsze ubranie, wyszedł na ulicę.

?Tłumy ciągnęły we wszystkich kierunkach, tak jak to widział podczas przechadzki z drugim duchem. Scrooge wpatrywał się we wszystkich, rozglądał się na prawo i na lewo, uśmiechając się wesoło. Miał minę tak zacną, tak poczciwą, tak zachęcającą — że kilka nieznajomych osób z ludu (ci zawsze są poczciwi), zaczepiło go, mówiąc: „Wesołych świąt — panie dobrodzieju, wesołych świąt!“ Scrooge utrzymywał potem, że gdy go po raz pierwszy tak pozdrowiono, o mało nie umarł z radości.

?Uszedłszy kilkaset kroków, spostrzegł idącego naprzeciw siebie jednego z panów, którzy dnia wczorajszego byli w jego kantorze po kweście. — Na ten widok serce mu się ścisnęło. — Co on sobie o mnie pomyśli — jak on na mnie spojrzy? — Lecz w jednej chwili zastanowił się, co mu czynić wypada. Przyśpieszył kroku, wziął go za obie ręce i rzekł: — Łaskawy panie, — jakże się pan miewa? Spodziewam się, że wczorajsza fatyga była korzystna dla nieszczęśliwych; zazdroszczę panu i winszuję zarazem tak zaszczytnego poświęcenia. — Wesołych świąt, kochany panie!

?— Pan... pan... Scrooge!!

?— Tak jest — szanowny panie — to moje nazwisko. Nie wiem, czy przyjemnie brzmi w uszach pańskich, wybacz mi moje wczorajsze zapomnienie. Byłem bardzo zajęty — roztargniony. Lecz dziś pozwoli pan — tu Scrooge nachylił się i szepnął mu coś do ucha.

?— Czy podobna! czy być może! — zawołał nieznajomy, nie mogąc wyjść z podziwienia — czy pan nie żartuje ze mnie!

?— Mówię jak najpoważniej — ani grosza mniej — płacę długi przeszłości; wierzaj mi pan, czynię to z największą radością — przyjm — zrób mi tę łaskę!

?— Panie! — odpowiedział tamten, ściskając mu rękę z uczuciem. — Podobna wspania...

?— Ani słowa więcej — nie godzien jestem pochwał. Bądź pan tak łaskaw i oznacz mi godzinę — gdzie i kiedy mam się stawić z pieniędzmi. Może raczysz przyjść do mnie z twoim zacnym towarzyszem?

?— Bezwątpienia.

?— Dziękuję panu — bardzo dziękuję. — Będę panom nieskończenie wdzięczny. — Dowidzenia! Polecam się pamięci.

?Wszedł do kościoła, modlił się, znowu chodził po ulicach, uśmiechał się, zagadywał nieznajomych, całował dzieci, wypytywał ubogich o ich potrzeby i obdarzał wsparciem. Nigdy nie czuł się tak szczęśliwym.

?Około południa znalazł się przed mieszkaniem siostrzeńca.

?Przeszedł przed drzwiami tam i napowrót kilkanaście razy. Nie miał dosyć odwagi, aby przestąpić progi tego domu. Wreszcie zakołatał.

?— Czy pan jest w domu, moje dziecię? — zapytał nieśmiało służącej.

?— Jest, proszę pana.

?— A gdzie?

?— W pokoju jadalnym, — z panią. Zaprowadzę pana do sali i dam znać państwu.

?— Dziękuję — twój pan zna mię bardzo dobrze — prowadź mnie do jadalnego pokoju. Tu! dobrze — dziękuję ci.

?Otworzył drzwi zwolna, nieśmiało. Młoda para kręciła się około stołu przygotowanego do obiadu. Pani oglądała wszystko starannie.

?— Alfredzie! — rzekł Scrooge.

?— Mój Boże! — zawołała z przelęknieniem siostrzenica.

?— Kto tam? — zapytał Alfred.

?— To ja, wuj Scrooge, proszę się uspokoić, wszakżeś mnie prosił wczoraj na obiad, czy mogę wejść, Alfredzie?

?Czy mógł?! — Alfred go porwał i wniósł prawie na środek pokoju — mało go nie roztrząsł z radości. W pięć minut Scrooge był jak u siebie. Przyjęto go serdecznie, radośnie. Siostrzeniec, jego żona, goście, którzy później przybyli — wszyscy byli z wielkim dlań szacunkiem i uprzejmością. Bawiono się wybornie. Scrooge śmiał się i zachęcał całe towarzystwo do wesołości, zapraszając do siebie za kilka dni — gdy urządzi mieszkanie.

?Nazajutrz rano — raniuteńko, był już w kantorze. Koniecznie chciał wyprzedzić swego buchaltera i schwytać go na gorącym uczynku spóźnienia. Udało mu się. Nowa przyjemność. Zegar wybił dziewiątą — niema Boba; kwadrans na dziesiątą — niema. Wreszcie nadszedł — spóźnił się siedemnaście minut. Scrooge przeglądał nibyto książki. — Bob pocichuteńku otworzył drzwi, zdjął w

sieni kapelusz i szalik, wsunął się jak piskorz, zasiadł na krześle w swoim pokoiku i zaczął pilnie pisać, chcąc wynagrodzić czas stracony.

?— Hej! — zawołał Scrooge, udając dawny swój głos — co to ma znaczyć. Po wczorajszem próżniactwie tak późno przychodzić, a to co za porządek?

?— Przepraszam pana, bardzo przepraszam, spóźniłem się cokolwiek.

?— Cokolwiek — półosiemnastej minuty! Proszę bliżej!

?— To tylko raz do roku — mówił Bob z pokorą — raz jeden, to mi się nigdy nie przytrafi; zabawiłem się wczoraj z dziećmi i tak mi czas uciekł, że.....

?— Nie — tak być dalej nie może — przerwał mu Scrooge. — Dość tego! — zeskoczył z krzesła, porwał Boba wpół i zawołał: — Tak być nie może. Dlatego... podwajam ci pensję.

?Bob zadrżał, wpadł do swej celki, schwytał żelazną linję, gotów do obrony, chciał wołać — ratunku! pomocy! trzymajcie warjata!

?— Tak, Robercie — mówił poważnie Scrooge — przedewszystkiem życzę ci wesołych świąt — i tu poklepał go po ramieniu. — Mój poczciwy towarzyszu, nigdym ci ich nie życzył. Przyznaję, żem się nie obchodził z tobą jak wypada. Podwajam ci pensję — chcę przyjść w pomoc twej pracowitej rodzinie; za dużo mamy roboty — biorę Piotra do kantoru — zresztą pomówimy o tem obszerniej dziś wieczorem, przy szklaneczce ponczyku. — Tymczasem nim zaczniesz pisać — dalej — rozpalić porządny ogień, zimno tu jak w psiarni — weź węgle do siebie — ja sobie kazałem kupić oddzielny koszyk.

?Scrooge wykonał więcej aniżeli przyrzekał — nietylko dotrzymał słowa, ale wyświadczał wiele, wiele dobrego.

?Był dla małego Tomaszka drugim ojcem.

?Stał się wzorowym panem, wzorowym przyjacielem, najzacniejszym z ludzi. Niektórzy złośliwie uśmiechali się z tej zmiany. Lecz Scrooge nic na to nie zważał — wiedział dobrze, że na kuli ziemskiej są istoty, dla których każde nawrócenie, każda szczera poprawa, każdy czyn szlachetny, ciepły, serdeczny, jest solą w oku. Śmieli się z niego. — On się śmiał także serdecznie, uczciwie — to była cała jego zemsta.

?Nie przestawał już z duchami, ale więcej przestawał z ludźmi, cały rok Boży żył z przyjaciółmi — z rodziną, czekał niecierpliwie dnia Bożego Narodzenia. Wspaniale obchodził tę wielką uroczystość. Wieńczył ją najlepszemi uczynkami. — Wszyscy mówili, że nikt tak nie święci Bożego Narodzenia jak Ebenezer Scrooge.

?Pragnę z duszy, aby podobnie mówiono o was — o mnie, o wszystkich ludziach!

?„Miłujcie się nawzajem“ — niech Bóg dobry, sprawiedliwy i miłościwy błogosławi nas wszystkich i okaże nam Swą łaskę.

Spis treści

Widmo Marley'a 2
Pierwszy z trzech duchów 14
Drugi z trzech Duchów 24
Duch ostatni 34
Przebudzenie 40